# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

**Redakcya i administracya KRAKÓW XV.**
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

**Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.**
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

**Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.**

**Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.**

Rok IX. Kraków, 21 grudnia 1912. Nr. 51.

# O pokój na Bałkanach.

(Treść na str. 2).



## O pokój na Bałkanach.

(Do illustracyi tytułowej).

Zawieszenie broni, zawarte między Serbią, Bułgaryą i Czarnogórą a Turcyą pod Czataldżą było wstępem do podjęcia rokowań pokojowych, które ostatecznie mają uregulować stosunki polityczne na Bałkanie. Jedna Grecya nie podpisała zawieszenia broni, mimo to i ona postanowiła wysłać delegatów, którzy wezmą udział w obradach pokojowych.

Ponieważ konferencya pokojowa obradować winna na terenie zupełnie neutralnym, wybrano Londyn jako najodpowiedniejsze ku temu miejsce. Rząd angielski bardzo chętnie na to się zgodził i wyznaczył na posiedzenia dla rokowań pokojowych starożytny zamek św. Jakóba.

W konferencyi pokojowej ze strony tureckiej biorą udział jako delegaci Osman Nizam Pasza, ambasador turecki w Berlinie, minister Reszid pasza oraz generał Salih pasza. Ze strony państw związkowych jest kilkunastu delegatów, między nimi prezydent bułgarskiego parlamentu Danew, gen. Paprikow ambasador bułgarski w Petersburgu, prezydent greckiego gabinetu Venizelos, szef greckiej armii gen. Danglis, prezydent serbskiej skupczyny Nikolicz, szef armii serbskiej Bojovicz, i inni.

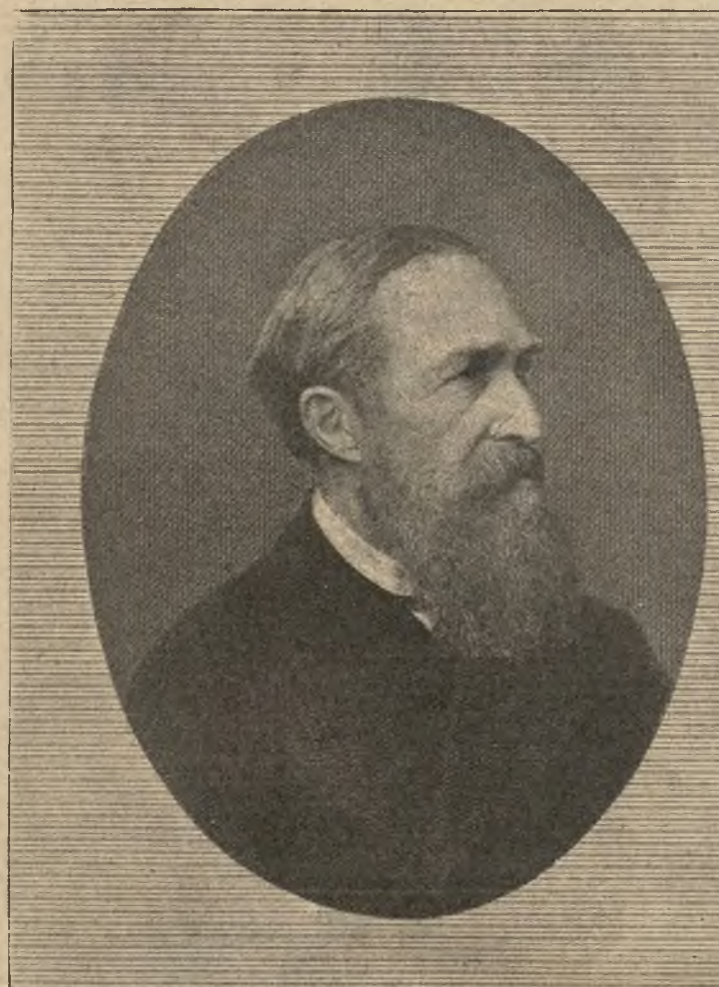
Na konferencyi tej ustalone jedynie zostaną warunki pokoju, nie będzie zaś podjęty podział zdobytych terytoryów. Propozycye przedstawione przez delegatów Związku bałkańskiego są bardzo twarde. Turcya ma odstąpić Macedonię i Epir, oddać Adryanopol, Janinę i Skutari, oddać Tracyę aż po linię między miastem Midyą a brzegiem rzeki Maricy, odstąpić wyspy na morzu Egejskiem i nadać Albanii autonomię, z tem jednak, iż północną część zaanektują Serbowie, a południową Grecy.

Tem samem Turcya europejska skurczyłaby się do małego skrawka ziemi leżącego między rzeką Maricą a Konstantynopolem wraz z Dardanellami.

Rzecz prosta, że Turcya warunków takich nie przyjmie, wobec czego los rokowań pokojowych jest bardzo niepewny.

Obrady konfenrencyi pokojowej rozpoczęły się w Londynie w ubiegły poniedziałek. Zebranych delegatów powitał imieniem rządu angielskiego sir Edward Grey, poczem rozpoczęły się obrady. Postanowiono, że codziennie będzie przewodniczył inny delegat państw w porządku alfabetycznym. Równocześnie z obradami delegatów pokojowych obradować będzie w Londynie konferencya ambasadorów wielkich mocarstw europejskich.

Illustracya nasza tytułowa przedstawia pierwsze posiedzenie delegatów pokojowych w zamku św. Jakóba w Londynie.



Ku czci Kraszewskiego: Józef Ignacy Kraszewski.

## Ku czci Kraszewskiego.

Rocznic do uroczystego obchodzenia mamy wiele, lecz wśród nich bardzo mało takich, których świetlany i radosny koloryt byłby tak żadną refleksyą smutną lub bolesną niezaciemniony, jak obchodzona obecnie setna rocznica urodzin Kraszewskiego.

Przeszło wiek (urodził się 28 lipca 1812 r.) upłynął od jego narodzin, a ćwierćwiecze od jego zgonu (r. 1887), a jeszcze nie zjawił się w naszem życiu publicznem mąż, któryby w swoim rodzaju tak wielkie, tak piękne i tak bezsporne położył wobec społeczeństwa swego zasługi. Budziciel narodowego ducha, twórca współczesnej powieści polskiej, geniusz pracy, tytan surowego pojmowania obowiązku — oto tytuły do sławy, brzmiące nie suchym głosem pustej jubileuszowej chwalby, lecz pełnodźwięcznym spiżem ciągle żywej i silnej pamięci czynów. Wśród wielkich, twórczych duchów niema hierarchii, ale jeżeli wśród grobów zasłużonych narodowi na Skałce znaleźć się mogą doczesne powłoki duchów lotniejszych, górniejsze obejmujących widnokręgi, to napewno ani jednego — godniejszego.

Zaiste „trudził się trudem wielkim" i głosem wołał donośnym, a choć czasem pozostał ten głos głosem „wołającego na puszczy", to jednak dziś, po przez szum fal czasu dochodzi on do dusz i serc jeszcze mocniej, stokrotnem się w nich mnożąc echem. Wielkie hasła, które na widzialnych, choć niewidzialnemi dłońmi ducha, trzymanych sztandarach utworów swoich wypisał — uznane zostały przez wszystkich; ideały, którym przez całe życie służył ciężką i wierną służbą, wciąż tak samo jasno przyświecają jego narodowi; cele, w dążeniu do których widział jedyną drogę i prawdę swego życia, celami się stały ogólnemi. Dzieła żywota dokonał do końca, a owoce tych trudów mnogie jeszcze spożywać będą pokolenia.

Na dzieło to złożyło się wiele prac poszczególnych, tak wiele, że dziesięciu nawet ludziom posłużyćby one mogły za prawo do nieśmiertelności. Ośmset tomów utworów — to ilość, jaką w całem piśmiennictwie świata paru zaledwie twórców poszczycić się może; a wśród nich wiele można wymienić takich, które nieskalanie niemal doskonałą odznaczają się formą, stanowiącą godną szatę podniosłej i głębokiej treści. Wyliczanie wszystkich przekroczyłoby znacznie ramy wszelkiego wspomnienia; dość stwierdzić, że niema działu umysłowości, w którymby nie zaznaczył śladów swej pracy utworami trwałej wartości i głębszego znaczenia. Krytyka literacka, krytyka artystyczna, publicystyka w najszerszem rozumieniu tego słowa, folklorystyka



Ku czci Kraszewskiego: Wejście do grobu zasłużonych na Skałce, gdzie spoczywają zwłoki Kraszewskiego



**Pogrzeb arcypasterza warszawskiego:** Tłumy, cisnące się do pałacu arcybiskupiego celem oddania hołdu zwłokom arcybiskupa Popiela. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

polska, dzieje ojczyste, zgoła nie po kronikarsku pojęte — oto dziedziny, w których działał dużo i owocnie. Ale przedewszystkiem ojcem swoim mieni go powieść polska. Całą historyę Polski zobrazował z ogromną czasem plastyką i poetycznością słowa w swoim cyklu powieści historycznych, obejmującym okres od czasów legendarnych „Starej baśni“ aż do smutnej epoki „Saskich ostatków“ i Stanisława Augusta. Powieściami ideowemi z dziejów późniejszych rozbudzał i podniecał uczucia patryotyczne. A jednemi i drugiemi, tak samo jak romansami obyczajowymi współczesnymi, stworzył zarówno powieść polską, jak jej czytelników. Można bez przesady powiedzieć, że nie było u nas nigdy popularniejszej powieści, niż „Chata za wsią“; ona pierwsza stworzyła łącznik pomiędzy miastem a dworkiem szlacheckim, ona połączyła stany w jednem wspólnem umiłowaniu piękności polskiego języka i uznaniu wartości swojskiego piśmiennictwa.

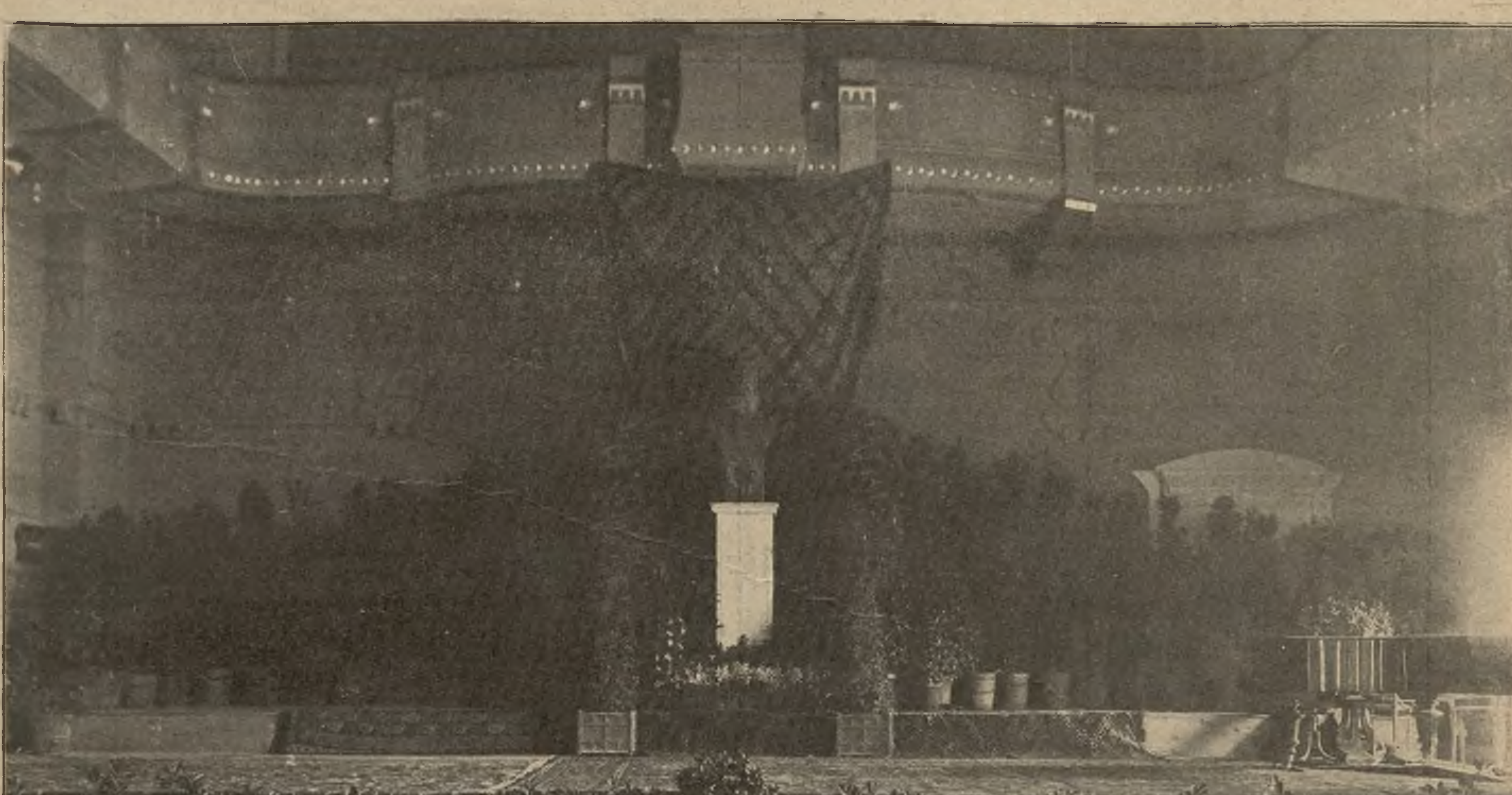
Ogromem swej tytanicznej pracy i wiecznie żywą krynicą, bijącą z jego dzieł, Kraszewski sam wystawił sobie pomnik, trwalszy nad spiż — bo w sercach potomnych. Naród, dla którego Kraszewski żył i pracował, może tylko dorzucić skromne wieńce hołdu. Taki hołd pamięci wielkiego pisarza złożyła też w obecnym roku jubileuszowym cała Polska. W Krakowie uroczysty obchód jubileuszowy ku czci Kraszewskiego odbył się w ubiegłą niedzielę. Po nabożeństwie w kościele na Skałce, gdzie w grobie zasłużonych spoczywają prochy wielkiego pisarza, odbyła się uroczysta Akademia w pięknie udekorowanej przez prof. Wodzinowskiego sali Starego Teatru.

Akademia rozpoczęła się odegraniem „Bajki“ Moniuszki przez orkiestrę pod batutą p. Czyżowskiego. Następnie stanął na estradzie prof. dr. Maurycy Straszewski, który zagaił uroczystość, kreśląc ogólny obraz działalności i zasług Kraszewskiego.



**O pokój na Bałkanach:** Starożytny zamek św. Jakóba w Londynie, gdzie odbywają się konferencye pokojowe.

Po tem przemówieniu rozległy się dźwięki kantaty jubileuszowej Zeleńskiego do słów Asnyka, napisanej na 50 letni jubileusz Kraszewskiego i wy-



**Ku czci Kraszewskiego:** Dekoracya sali Starego Teatru na uroczystą Akademię.

konanej w Krakowie w r. 1879 podczas uroczystego hołdu w Sukiennicach.

Z kolei rozpoczął się cykl krótkich odczytów. Wszechstronną twórczość Kraszewskiego scharakteryzowali w pięknych przemówieniach prof. dr. Straszewski, Lucyan Rydel i prof. Tadeusz Grabowski.

Programu uroczystości jubileuszowych dopełniło przedstawienie popołudniowe w teatrze miejskim, na którem odegrano komedyę Kraszewskiego p. t. „Miód kasztelański".

Do ogólnego hołdu jubileuszowego i my przyłączamy swój skromny wieniec czci dla twórcy „Starej baśni".

## Pogrzeb arcypasterza warszawskiego.

Dwa dni trwały ceremonie pogrzebowe nad zwłokami zmarłego w Warszawie arcypasterza. Trumnę, ustawioną w pałacu arcybiskupim, we środę przeniesiono do katedry św. Jana. Kondukt prowadził ks. metropolita Kluczyński w asystencyi ośmiu biskupów oraz około 500 księży.

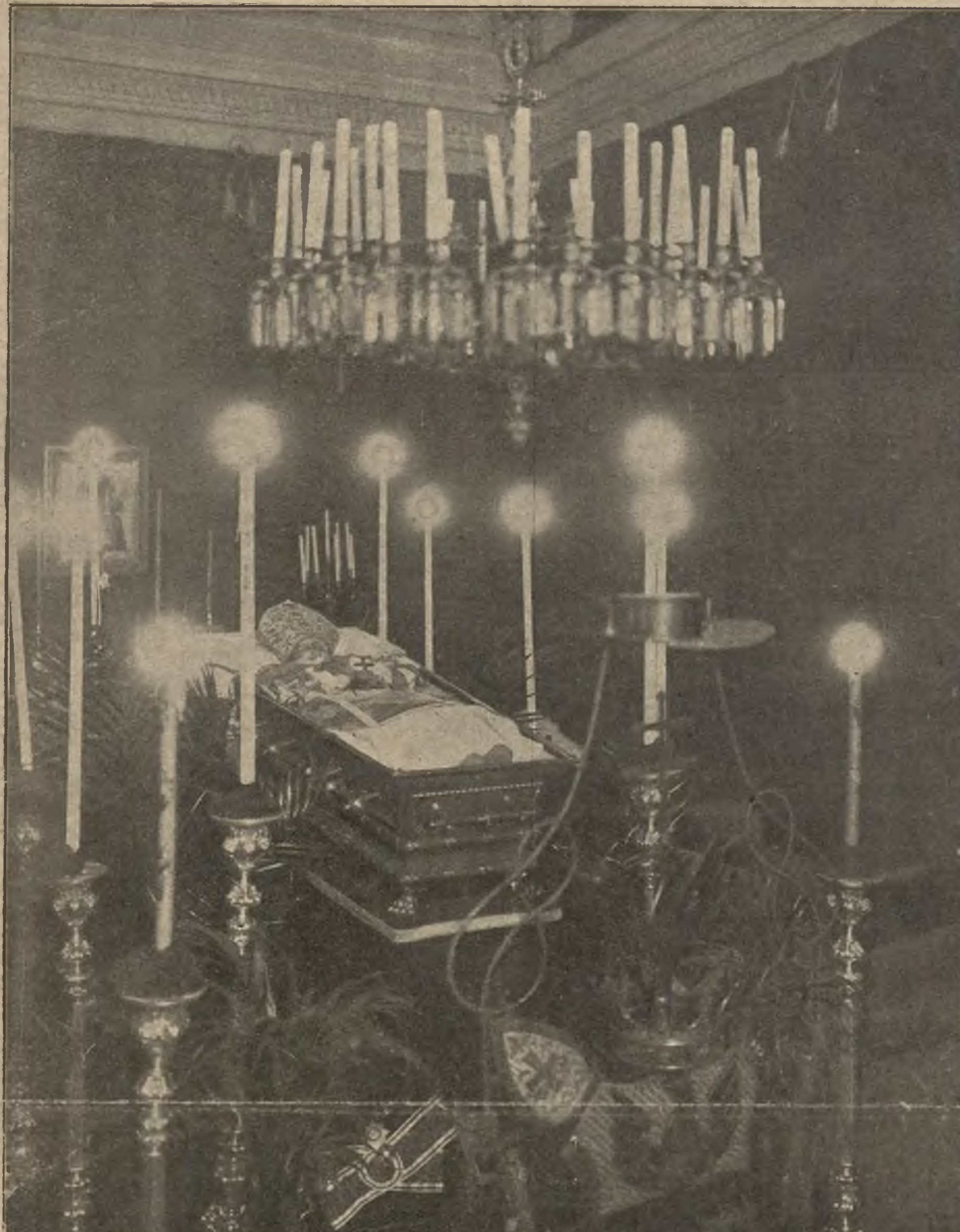
Przy uroczystym odgłosie dzwonów rozwinął się olbrzymi kondukt pogrzebowy, który przeszedł ul. Miodową, Krakowskiem Przedmieściem i Placem Zamkowym. Wielkie tłumy publiczności i młodzieży szkolnej zapełniły ulice, którymi kondukt przechodził. W pochodzie postępowały wszystkie bractwa, cechy, szkoły polskie, szereg instytucyi, oraz deputacye włościan z różnych stron kraju.

Po złożeniu trumny na wspaniałym katafalku w katedrze przemówił do tłumów zebranych ks. Kasiński.

Właściwy pogrzeb odbył się we czwartek. Już od godziny 7 rano odprawiano przy zwłokach arcypasterza żałobne nabożeństwa. Pierwszą mszę pontyfikalną celebrował ks. biskup Nowowiejski. Następnie o godz. 11 przed południem uroczystą sumę odprawił ks. metropolita Kluczyński, poczem wszyscy biskupi odśpiewali żałobne „Castrum doloris". Zwłoki zdjęto z katafalku i zniesiono do presbiteryum, gdzie przemówił ks. Złzitowiecki. Następnie złożono zwłoki w podziemiach katedry.

Celem uczczenia pamięci zmarłego arcypasterza postanowił komitet, który zajmował się urządzeniem pogrzebu, uwiecznić jego wspomnienie trwałym pomnikiem, któryby odpowiadał znojnej i owocnej pracy ks. arcybiskupa Popiela, jaką w dyecezyi swej prowadził. W tym celu ogłoszono odezwę do społeczeństwa, wzywając je, aby zamiast wieńców na trumnę składano datki na ufundowanie ochronki imienia ś. p. ks. arcybiskupa Popiela.

Illustracye nasze przedstawiają zwłoki arcypasterza na katafalku w salonie pałacu arcybiskupiego oraz kondukt pogrzebowy.



Pogrzeb arcypasterza warszawskiego: Zwłoki arcybiskupa Popiela na katafalku w pałacu arcybiskupim. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Pogrzeb arcypasterza warszawskiego: Kondukt pogrzebowy przed bramą Konsystorza na ul. Miodowej. (Fot. Maryan Fuks, W

**WALERY PRZYBOROWSKI.**

# CIEŃ.

**(Powieść z przed stu lat).**



15

XIV.

### List Hortensyi do Julii.

*Varsovie le 12 Avril.*

Ma chère Julie.

Zdziwisz się zapewne wyczytawszy miejsce, z którego do ciebie piszę. *Helas!* nie jestem już w Paryżu. Oddawna się na to zanosiło, zdaje mi się nawet, żem ci kiedyś pisała, że może niezadługo zobaczymy się w Polsce. Jakoż tak się stało, wcześniej, niż to przypuszczać mogłam. Wyobraź sobie, że mój papa oddawna mi rozpaczliwe listy pisywał, że nie może mię dłużej utrzymywać w Paryżu, że stan jego majątkowy jest bardzo zły, że zboża nikt nie kupuje, że nikt niema pieniędzy, że kredyt jest trudny i kosztowny, *et des pareiles choses ridicules*, które nic, a nic mnie obchodzić nie mogą i nie powinny.

Ale cóż miałam robić, musiałam być posłuszną, porzucić Paryż, pensyę pani Campanne... Nie uwierzysz, jak mię ona serdecznie żegnała, jak wszystkie koleżanki płakały, jak *abbé* Constant mię całował w czoło, oczy, nawet usta, a tak gorąco, że musiałam się z jego objęć prawie wyrywać. Sama spłakałam się, i wyjeżdżając z Paryża miałam oczy zaczerwienione. Ileż to miłych, tkliwych wspomnień zostawiłam w tem mieście. *Oh, mon Dieu*, czy ja tam jeszcze kiedy będę!...

Na szczęście, wojna, która tu nagle wybuchła, nie pozwoliła mojemu okrutnemu papie zawieźć mię i zakopać na wsi i musieliśmy zostać w Warszawie, bo wszystkie drogi są zajęte przez wojsko polskie i przez cesarskich, z czego jestem bardzo zadowolona, to jest nie z tego, że drogi są zajęte, ale z tego, że pozostajemy w Warszawie. Warszawa, choć po Paryżu wydaje się okropnie, jednakże jest bądź co bądź dużem miastem, i ma wcale znośną *société!* A co wojska, co pięknych oficerów, jakie śliczne uniformy, jacy zgrabni chłopcy, jacy *galants*, tego ci trudno opisać. A sam książę Peppi, czyż potrzebuję ci mówić, *chère Julie*, że te wszystkie panny, mężatki, rozwódki i wdowy w nim się kochają i lękam się, tak lękam się, że i ze mną to może nastąpić, choć, jak wiesz, moje serce jest *de glace*, jak mawiał *chevalier* T...

Czy wiesz, że go tu widziałam i dlatego ten list piszę do ciebie, niewdzięczna *Julie*, choć wątpię, czy z powodu tej niemądrej wojny, do ciebie dojdzie. Ale muszę pisać, bo jestem przekonana, że ta wiadomość sprawi twojemu czułemu sercu przyjemność, choć nie zasługujesz na to, bo w ostatnich twoich listach zauważyłam pewną skrytość, pewną tajemniczość, której przyczyny nawet mój przenikliwy umysł odgadnąć nie może. Otóż chcę pokazać, że jestem lepszą od ciebie i donoszę ci, że kawalera T. widziałam, a nawet (jakże mi tego zazdrościć musisz) rozmawiałam z nim nie dawniej, jak wczoraj.

Zawsze jest piękny, zawsze tkliwy i ślicznie wygląda w swym adyutanckim mundurze, bo trzeba ci wiedzieć, że jest adyutantem przy księciu Józefie i już nie wraca, przynajmniej w tym czasie, do Paryża. Ujrzałam go na wieczornem, bardzo wykwintnem zebraniu, u pani prefektowej Nakwaskiej. Spostrzegłszy mnie, zaraz się zbliżył i wyraził zdziwienie, a jednocześnie zachwyt, że znajomą swoję z Paryża spotkał tu w Warszawie. Rozmawialiśmy dość długo, aż to powszechną zaczęło zwracać uwagę, zwłaszcza, że moje pojawienie się w salonie warszawskim zrobiło *un grand éclat*, nie tyle może przez moją piękność (bo nie jestem zarozumiałą i nie dorównywam twej *diabolique beauté* z mojemi jasnymi włosami i błękitnemi oczami), ile przez najświeższe i czysto paryskie stroje. Opiszę ci je tutaj.

Miałam więc na sobie *une robe de taffetas couleur d'azur*, tak odpowiednim mej białej, księżycowej (jak się wyraził ktoś) cerze, z krótkimi rękawkami, obcisłą i wyciętą na piersiach, a w tym powiewnym stroju *ma gracieuse figure*, wyglądała prześlicznie i widziałam, jak zazdrosnemi oczami mierzyły mię wszystkie damy, z czego byłam serdecznie zadowolona. Na głowie miałam... ale [illegible] ja ci to piszę? Widzę już twe wspaniale zarysowane brwi, jak się gniewnie marszczą i niecierpliwie przerzucają twe ogniste oczy te wyrazy, by dojść do dalszego ciągu mego widzenia się z kawalerem T...

Sądzę, że znasz mię dobrze, *ma mignon*, jak również mój rozum i nie przypuszczasz, abym była tak niezręczną i pierwsza wspominała o tobie kawalerowi T., choć z niecierpliwością oczekiwałam, kiedy on zacznie mówić o tobie. Nakoniec nastąpiło to, czego pragnęłam jedynie ze względu na ciebie, *Julie*, bo mężczyźni są tak niestali, jak mawiała biedna panna Danfinot. Nachyliwszy się, zapytał półszeptem: „Czy panna Julia Dziaduska jeszcze bawi w Paryżu?“

O niewdzięczniku, pomyślałam sobie, o zdrajco! albo naprawdę nie wiesz o tem, że piękna Julia dawno już opuściła Paryż, albo udajesz. Postanowiłam go ukarać i rzekłam chłodno:

— Doprawdy, nie wiem, co się dzieje z panną Julią Dziaduską.

— Czy to być może — zawołał — żeby pani nie wiedziała. Wszak byłyście ze sobą w przyjaźni?

— Masz pan słuszność. Nie wierz temu, co przed chwilą powiedziałam. Wiem doskonale, co się dzieje z *ma belle Julie*. Korespondujemy ze sobą. Otóż muszę powiedzieć, że *Julie* wychodzi za mąż.

*O Julie!* trzeba było widzieć jego minę. Zbladł i w jego pięknych, czarnych oczach zabłysła łza, aż mi się go żal zrobiło, przyznaję, ale nie ustąpiłam i rzecz doprowadziłam do końca, bo z mężczyznami trzeba tak zawsze postępować, trzeba być dla nich nieraz bez miłosierdzia. Milczał przez chwilę, widocznie siląc się na spokój, wreszcie rzekł:

— Wbiłaś mi pani puginał w serce... Prawdę mówią filozofowie, że kobieta zmienną jest... Czy mogę zapytać, za kogo panna Julia wychodzi?

Zlitowałam się nad nim, bo miał wyraz twarzy strasznie przygnębiony, więc odpowiedziałam:

— To nie jest jeszcze pewne... przytem *Julie* w listach, do mnie pisanych, oświadcza, że nie chce wcale wychodzić za mąż, że jeżeliby ją jej *grand papa* do tego zmuszał, to wstąpi do klasztoru.

— Do klasztoru! Boże wielki! — zawołał — co pani mówi?

— Tak mi pisze.

— Alež ten jej dziadek, to jakiś tyran okrutny!

— Wcale nie — odpowiedziałam, śmiejąc się — z listów *Julie* widzę, że jest to un *galant homme*, ale ludzie starsi mają odrębne od nas widzenie rzeczy. Wątpię zresztą, ażeby wbrew woli swej wnuczki chciał ją zmusić do małżeństwa. A przytem *Julie* ma charakter, *elle a du coeur.*.

— Lejesz mi pani balsam na serce — szepnął namiętnie, poczem spytał:

— Czy można wiedzieć, gdzie panna Julia teraz przebywa?

— Dziwi mię, że pan nie wiesz? Ah, prawda, pan sądziłeś, że jest ona w Paryżu...

— Niech się pani temu nie dziwi. Wszak wyjechałem z Paryża nagle, z rozkazu cesarza, tak nagle, że nawet znajomych nie mogłem, nie miałem czasu pożegnać, ani uwiadomić o tem. Jestem żołnierz i muszę słuchać rozkazów moich zwierzchników, ale wierz mi pani i nawet śmiem błagać o to, byś pisząc do panny Julii, zawiadomić ją raczyła o tem, że... że... zawsze, ciągle jest mi ona na myśli...

— Czy tylko na myśli? — zapytałam złośliwie.

— Pani jesteś przyjaciółką panny Julii, wszak prawda?

— No, tak... znamy się od dziecka i kochamy się bardzo.

— Więc pozwól, że ci serce moje otworzę...

— Nie! nie! nie chcę! Za kogo mię pan bierzesz? Czyż mam pięćdziesiąt lat, żebym słuchała zwierzeń kochanków? Zachowaj pan swoje zwierzenia dla *Julie*, jak się z nią zobaczysz.

— Czy się zobaczę? — westchnął melancholijnie.

— Dlaczegóżby nie? Wszak *Julie* nie mieszka u antypodów.

— Wojna jest i nie wiem, gdzie mię jej wichry poniosą...

— Co za poetyczne wyrażenie! — zaśmiałam się, a on pytał:

— Gdzie więc jest panna Julia?

— Przebywa u swego opiekuna, a zarazem *grand-papa*, który ma podobno sto lat, wśród gór i puszcz, w średniowiecznem zamczysku, pełnem widm i duchów.

— Pani żartuje, a mnie serce pęka! — szeptał.

Żal mi go nakoniec było, bo miał tak smutną, tak zgnębioną postać, że [illegible] zazdrości inne damy, będące w pobli[illegible] go się [illegible] czy nie jest chory. [illegible] żyć i nie dręczyć go więcej, rzekłam całkiem już seryo:

— Wszystko, co mówię, jest prawdą. *Julie* przebywa na wsi, w starożytnym zamku swych przodków. Wieś ta leży w górach Świętokrzyskich i nazywa się Zamkowa Wola. Najbliższem znaczniejszem miastem są Kielce.

— Więc to w Galicyi austryackiej?

— Tak.

— Mój Boże, przecie dostać się tam nie będę mógł, skoro jest wojna z Austryą.

— Zapewne, ale cóż ja na to poradzę... chociaż... słyszałam kiedyś, tu w Warszawie, przysłowie: niema złej drogi, do swojej niebogi.

Zaśmiałam się znowu, bo jego zgnębiona i zrozpaczona mina zaczynała mię bawić i podniosłam się, chcąc skończyć tę rozmowę, powszechną wśród dam wzbudzającą zawiść, ale przyszła mi na myśl historya twej praprababki, pani chorążyny, zaklętej w cień na portrecie, o którym mi tak dużo pisałaś. Zatrzymałam się więc i szepnęłam:

— Wszakże przez przyjaźń dla *Julie* muszę uprzedzić pana, że kiedyś tam, jak to sam wiesz, istniała jakaś gwałtowna nieprzyjaźń między Dziaduskimi i Dolabellami. Otóż ta polska historya Montekich i Kapuletów jest znana pradziadowi *Julie* i nienawiść do Dolabellów w tym wiekowym starcu w całej sile istnieje.

Rzuciwszy tę strzałę Parta, jak się wyrażał na pensyi nasz nauczyciel historyi, skłoniłam się z gracyą kawalerowi i opuściłam go, na radość innych dam, które go zaraz obstąpiły i poczęły z nim bezwstydnie *minander*.

Oto masz, *ma petite Julie*, dosłowną relacyę rozmowy z pięknym kawalerem Tomaszem. Widzę twoje niezadowolenie i twój gniew, żem się z nim tak okrutnie obeszła, ale to było konieczne, bo pamiętaj to sobie, że przeszkody wszelkie podniecają miłość. Bądź jednak spokojna, kawaler cię kocha i kocha gorąco, a o tem dowiedziała się i przekonała naocznie twoja przyjaciółka Hortensya. Czyż nie powinnaś jej za to być wdzięczną do grobowej deski, jak mówią poeci? Tylko patrzeć, jak pewnego pięknego poranku przed bramą i zwodzonym mostem starożytnego zamku, w którym wzdycha nadobna kasztelanka *la belle châtelaine*, zjawi się mężny rycerz w uniformie szwoleżera *de la garde imperiale*... tylko bądźcie ostrożni oboje, na miłość Boską bądźcie ostrożni! O to zaklina Cię szczerze kochająca i przesyłająca Ci tysiąc pocałunków w twe różowe usteczka.

*Hortence.*

*Ps.* Zapomniałam się zapytać, czy tajemniczy mnich Gwido nie pokazał się więcej w zamku? Czemu mi o nim nie piszesz?

Jeszcze słówko. W tej chwili dowiaduję się, że kawaler Dolabella z pułkiem szaserów pod wodzą jenerała Rożnieckiego, wyruszył w pole przeciw cesarskim. Mamy więc wojnę. Jacyż niemądrzy ci mężczyźni z temi swojemi wojnami.

*Toute à vous.*

*Hortence.*

XV.

### Dalszy ciąg dziennika Julii.

D n i a 25 k w i e t n i a. Przez parę dni z rzędu nie byłam w stanie pisać w moim dzienniku; byłam po prostu chorą po strasznej scenie nocnej z Gwidonem. Ta myśl, że ja go całowałam, wprawia mię w trudną do opisania rozpacz; a nadewszystko to podobieństwo do takiejże samej sceny, opisanej w pamiętnikach mej praprababki chorążyny, budziło we mnie jakąś nieokreśloną trwogę. Zdawało mi się, że ręka przeznaczenia, przeciw któremu próżnaby była wszelka walka z mej strony, wszelki opór, chwyta mię w swe kleszcze i unosi ku tajemniczej, nieznanej przyszłości. Nawet list, odebrany w tych dniach od Hortensyi, nie mógł mię z odrętwienia, w jakie wpadłam, ocucić. I cóż z tego, że mię kawaler Dolabella kocha? czyż na nas obojgu nie leży przekleństwo złego czynu, spełnionego przed półtora wiekiem? czy po tem, co się stało w nocy przed paru dniami, mogę wyjść za kawalera? wszak jeszcze czuję na mych ustach palące pocałunki wy[illegible] i złoczyńcy mnicha i co gorsza, ja... ja... mu [illegible] całunki oddawałam! O mój Boże [illegible] mną! Jestem zgubiona, splami[illegible]

Jakże sobie wyrz[illegible]

w tajemnicy [illegible]

żona. Nic mi chyba nie pozostaje, jak w rzeczy samej iść za słowami kłamliwemi Hortensyi i wstąpić do klasztoru. Jest tu podobno niedaleko, gdzieś w górach i lasach klasztor Panien Bernardynek. Udam się tam i wśród posępnych murów ukryję mój wstyd i pokutę odprawię za grzechy moje i mych przodków. O! tak, klasztor, to jedyne miejsce dla takiej bezwstydnicy jak ja, całującej mnicha zbiegłego i złodzieja. Boże, ja chyba umrę ze wstydu!...

Tegoż dnia późno w nocy. Uspokoiwszy się dziś nieco, poczęłam zastanawiać się nad tem, jakim sposobem zbiegły mnich Gwido, a raczej Tomasz Gaworowski, mógł dostać się do mego pokoju. Wszak jest on na piętrze, stosunkowo dość wysokiem. Chcąc się o tem przekonać, a przedewszystkiem zabezpieczyć się na przyszłość, bo skoro raz tu się dostał, to może to samo drugi raz powtórzyć, postanowiłam tę rzecz zbadać szczegółowo. Nie chodzę już do parku, bo się boję, choć wiosna jest w całej krasie, noce są cudowne, drzewa się rozwinęły, bzy kwitną, a słowik swe trele wyśpiewuje, ale go już nie słucham, bo lękam się otwierać okien wieczorami. Owszem teraz na noc starannie zamykam okiennice od strony ogrodu, a nawet do tego pokoju kazałam Zuzi przenieść się z łóżkiem dla bezpieczeństwa, co ona dość niechętnie spełniła, bo tam, gdzie dotąd sypiała, okna wychodzą na dziedziniec zamkowy, przez które mogła widzieć mieszkanie pana Alfonsa Dziurkiewicza i może z nim się porozumiewać.

Jakkolwiek więc zaprzestałam moich przechadzek po parku, jednak dziś po południu zeszłam do niego, żeby się przekonać, jakim sposobem złoczyńca Gaworowski mógł się dostać wtedy do okna, a przez okno do pokoju. Zbadałam bardzo starannie okolicę owego okna, znalazłam nawet ślady jego nóg, odciśnięte na miękkiej, wilgotnej ziemi, ale naprawdę nie umiem sobie wytłumaczyć, jaką drogą i którędy wdrapał się na piętro. Chyba miał drabinę, ale w takim razie byłaby ona zostawiła jakiś ślad, dziury w ziemi, w miejscu, w którem stała, tymczasem nic podobnego nie znalazłam. Piętro jest dość wysokie, ściany wprawdzie mają liczne gzemsy, zagłębienia, skarpy, je podpierające, ale bądź co bądź trzeba być gimnastykiem nielada, żeby wdrapać się na nie. Zdumiewam się naprawdę nad zręcznością i odwagą Gaworowskiego. Wprawdzie tuż pod oknem rośnie ogromny wiąz, którego gałęzie sięgają do okna, ale trzeba być bardzo lekkim, by po tych gałęziach przesunąć się, a potem z nich zrobić ryzykowny skok do pokoju. Doprawdy, mimo wszystko, mimo gniewu i nienawiści, jaką czuję do tego zdrajcy i złoczyńcy, nie mogę w duszy nie podziwiać jego dzielności i odwagi!

Dnia 27 kwietnia. I znowu niezłomna wola przeznaczenia popycha mię o krok dalej w nieznaną, tajemniczą przyszłość. Opiszę, jak to było.

Pomimo, że ostatnie wypadki wyłącznie mnie zaabsorbowały, nie uszło jednak mojej uwagi, że Walczak był znowu wezwany do zamku, że miał jakąś konferencyę z dziaduniem, z czego wywnioskowałam, że zapewne otrzymał rozkaz sprowadzenia Szydły ponownie. Jakoż nie omyliłam się. Wczoraj dziadunio mi powiedział:

— Przepędzimy wieczór w wielkiej sali na dole, bo Szydło ma dziś przyjść o północy.

— Czy w sprawie mnicha Gwidona? — zapytałam.

— Tak. Chcę się dowiedzieć od niego, gdzie i jak znalazł wózek i konie klasztorne i wogóle na jakie ślady tego zbrodniarza natrafił.

Zasiedliśmy więc w owej sali, spłowiałej od starości, przy kominku, gawędząc i wsłuchując się co [illegible]zina w nikłe tony kurantowego zegara, powta[illegible]cego [illegible]cholijną aryę płaczących nad sobą [illegible]w. Sala ta i ten zegar wywierał [illegible] wrażenie, zdawał się wtó[illegible]sobieniu, tak, że [illegible] które sta-

stwo warszawskie i zapewniał, że cesarz Napoleon zada jakiegoś „fernepiksu Kajzerlikom“, jak się wyrażał. Słuchałam tych wynurzeń, nie słuchając wcale, bo dusza moja błądziła po buduarze tam na piętrze i paliła się wstydem od otrzymanych i oddanych pocałunków zbiegłemu mnichowi, a potem przypominałam sobie list Hortensyi i jej opowiadanie o kawalerze Dolabelli. Wszystkie nici się porwały i ja nie będę mogła zostać żoną mego ukochanego, bo usta innego mężczyzny spoczęły na mych ustach. A godziny płynęły, a zegar jęczał swą śpiewkę smętną i straszny smutek ogarniał mą biedną, zrozpaczoną, ciężko zranioną duszę, dla której jedyna ucieczka pozostawała w murach klasztornych. W ciągu dnia wypytałam się starej Gruszkowskiej o ten klasztor; powiedziała mi, że jest on pod wezwaniem św. Katarzyny, że znajduje się wśród głuchej puszczy i gór, że zna przełożoną, matkę Serafinę, że są to wogóle bardzo dobre i bardzo święte panny, że jeżeli chcę, a jaśnie pan dziedzic pozwoli, to jak się tylko drogi ustalą i obeschną trochę, możemy tam jechać na nabożeństwo.



Zasiedliśmy więc w owej sali, spłowiałej od starości..

I teraz oto, niby słuchając wygadywań dziadunia na „Kajzerlików“, myślałam o cichem, sennem, zamkniętem życiu klasztornem, a słowik pod oknem wyśpiewywał swe trele miłosne, a zegar kwilił i po starej sali szły jakieś szmery i szepty. Może to duch biednej chorążyny, może jej postać, utkana z „Cienia“, zeszła z obrazu tam w galeryi i krąży niewidzialna koło swej nieszczęśliwej praprawnuczki.

Nakoniec zegar stękając, chrapiąc, z powstrzymywanym co chwila oddechem, wyjęczał północ, a kurant wykwilił swą piosnkę, której wyrazy, zasłyszane od Zuzi, brzmiały mi w uszach:

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną,
Ty zakwitniesz rożą, a ja kaliną.“

Gdy nagle tuż pod szklannemi drzwiami sali rozległo się ponure hukanie puszczyka, hasło umówione między Szydłą a dziaduniem.

Nie będę tu opisywała rozmowy, jaką mój opiekun prowadził z herszetem bandytów, bo mię ta rzecz nie interesuje. Szydło zaklinał się na wszystko, że samego Gwidona nie mógł wyśledzić, że wprawdzie trafił na jego śl[illegible]świadczy znaleziony wózek [illegible]go mnicha nie widział. [illegible]knienia i to w mojej

obecności, nie wstydząc się wcale i nie lękając, że ja każdej chwili mogłam zaprzeczyć jego słowom.

— Niech jaśnie pan — mówił zbój — pewny będzie, że tego dobrodzieja niema wcale w tutejszych borach. Pewnikiem on już drapnął za Pilicę do naszych. Coby on tu robił? chyba po to by siedział, żeby go cesarscy chycili.

Nie słuchałam tych tłumaczeń się, bo mię wstyd było, że pozwalam tak zuchwale oszukiwać dziadunia; wydawało mi się, że jestem spólniczką tego rozbójnika. Wstałam więc i poszłam do na pół uchylonych drzwi szklanych, wychodzących na taras, i patrzyłam, jak powoli za ciemne grupy drzew zapadał się sierp księżyca, wdychałam w siebie woń rozkwitłych bzów i napawałam się trelami słowiczemi. Noc była cicha i ciepła i tak zagłębiłam się w jej urok poetycki, w myśli o kawalerze, łzami roszącym wiadomość, że wychodzę za mąż, o ohydnych pocałunkach Gwidona, o klasztorze, jedynej ucieczce dla mej duszy utrapionej, że zupełnie nie zwracałam uwagi na toczącą się znowu rozmowę między bandytą a dziaduniem, i nie wiedziałam wcale, jak długo ona trwała. Wtedy dopiero ocknęłam się z mojej dręczącej zadumy, gdy Szydło żegnał się z „jasnym panem“ i szedł ku drzwiom, przy których ja stałam. Zbliżywszy się do mnie, począł mi się kłaniać do kolan, całować mię w łokieć, coś gadać i przytem niewiem już kiedy i jak, ale w każdym razie bardzo zręcznie wsunął mi w dłoń jakiś papier w kilkoro złożony. Źlem bardzo zrobiła, żem zaraz przy dziaduniu tego papieru nie rozwinęła i nie zwróciła go Szydle... Ha! któż wie, może i dobrze, żem tak nie uczyniła, bo wtedy musiałabym opowiedzieć o nocnem wtargnięciu Gwidona do mego pokoju, o pocałunkach jego i moich, a ja tę noc chciałam ukryć głęboko, mój wstyd i moją hańbę pokryć nieprzeniknioną tajemnicą. Dlatego to kartkę, wręczoną mi przez Szydłę, schowałam do kieszeni tak, że dziadunio tego nie zauważył wcale. Herszt zbójecki odszedł, dziadunio drzwi starannie zamknął i zasunął je okiennicami i widocznie miał ochotę jeszcze pogawędzić trochę, ale mnie kartka, którą miałam w kieszeni, paliła, chciałam ją jaknajprędzej przeczytać i dowiedzieć się, co zawiera. Pod pozorem więc znużenia pożegnałam poczciwego mego opiekuna i poszłam do siebie na górę. Drzemiącą Zuzię wyprawiłam zaraz spać, mówiąc, że się sama rozbiorę, drzwi od mej alkowy zamknęłam i coprędzej wydobyłam z kieszeni ów papier nieszczęsny.

Był to list zmięty i zabrudzony w niezbyt zapewne czystych łapach Szydły, zalepiony kawałkiem oś[illegible]dka chlebowego, list, któżby temu uwierzył? od Gwidona Gaworowskiego. Tak miał on śmiałość i zuchwalstwo do mnie pisać! Zobaczywszy podpis, wahałam się, czy należy czytać to pismo, ale po namyśle nie spaliłam go, jak to pierwotnie zamierzałam i nietylko przeczytałam go od końca do końca, ale nawet przepisałam w tym dzienniku, by go zachować na wszelki wypadek. Czy źle zrobiłam, nie wiem, ale nie mogłam przezwyciężyć ciekawości, nie mogłam się oprzeć pragnieniu zobaczenia, co może pisać do mnie pan Tomasz Gaworowski, po obeldze, jaką mu w twarz rzuciłam, gdy się wdarł w nocy do mego pokoju i gdy mię całował i ja jego... Boże, któż zetrze z mych ust te palące pocałunki?

Ale oto ten list:

*„W borze Witosławskim 21 kwietnia 1809 r.*

Najpiękniejsza z Polek Pani!

Okrutnie się Pani ze mną obeszła wczoraj, zapominając, że ci niosę młode i gorące moje serce w darze; nazwałaś mię złoczyńcą i złodziejem. Otóż, nim, zrozpaczony i znękany życiem, rzucę się na burzliwe fale wypadków, które się w Polsce zaczynają teraz rozgrywać, chcę cię, Pani, błagać o przebaczenie za moje wczorajsze zuchwalstwo, a zarazem wytłumaczyć i usprawiedliwić czyn, jakiego niedawno dopuściłem się w klasztorze świętokrzyskim. Czy raczysz mię wysłuchać o! najmilsza i najpiękniejsz[illegible] Polek?

(Ciąg dalszy nastąpi).





**Po wojnie:** Wojska serbskie w Ochridzie (pod Monastyrem).

**Po wojnie:** Armata turecka, zdemolowana przez Serbów pod Monastyrem.

# Ostatni konsystorz papieski.

W pewnych oznaczonych czasach odbywa się co rok w Rzymie t. zw. konsystorz papieski pod przewodnictwem papieża. Na konsystorzach papież mianuje nowych kardynałów, a także ogłasza ważniejsze dekrety.

Konsystorz ten odbywa się z wielkim przepychem i ceremoniałem. Wszyscy bawiący w Rzymie kardynałowie i biskupi, ciało dyplomatyczne akredytowane przy Watykanie, rycerze Maltańscy oraz przedstawiciele wybitnych rodów arystokratycznych włoskich biorą w nim udział. Po uroczystem nabożeństwie w bazylice św. Piotra, papież otwiera posiedzenie konsystorza przemową, w której zazwyczaj, podobnie jak udzielni królowie, wygłasza poglądy Stolicy św. na bieżące sprawy [illegible] świecie [illegible] też na ważniejsze kwestye dogmatyczne w danej chwili aktualne. Następnie ogłasza nazwiska nowych kardynałów i wręcza im kapelusze kardynalskie, przyjmując od nich hołd.

Ostatni konsystorz papieski odbył się pod przewodnictwem papieża Piusa X. drugiego grudnia. Wśród szeregu nowych kardynałów w różnych państwach, zamianowany został także arcybiskup Wiednia dr. Nagl.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy papież w stroju pontyfikalnym udaje się na posiedzenie konsystorza. Gwardya papieska niesie go krużgankami Watykanu, siedzącego na „sedia gestatoria“.



**Po wojnie:** Wobec groźnej sytuacyi ambasady państw europejskich w Konstantynopolu strzeżone są przez wysadzonych na ląd marynarzy.



[illegible] leski [illegible] Papi [illegible]

## Pokój w Afryce.

Gdy Europa przeżyła niedawno straszną wojnę bałkańską i stoi przed groźnem widmem jeszcze straszniejszej zawieruchy ogólno-europejskiej, w Trypolisie, gdzie padło tyle ofiar w wojnie włosko-tureckiej, zapanował już zupełny spokój... Z wojny na Bałkanach odniosły dotychczas korzyść tylko Włochy, z któremi Turcya, zaatakowana w Europie, musiała zawrzeć pokój... W ten sposób kampania trypolitańska, tak nieszczęśliwa i niepomyślna dla oręża włoskiego, skończyła się niespodziewanie pokojem, który oddał Trypolitanię królestwu włoskiemu.

Nie sprawdziły się również przewidywania, że pomimo zawarcia formalnego pokoju pomiędzy Włochami a Turcyą, Arabowie nie zaprzestaną dalszej walki. Po długotrwałych walkach i rzeziach anioł pokoju zapanował dziś nad Trypolisem... Tę zgodę niedawnych wrogów symbolizuje zamieszczona w dzisiejszym numerze fotografia, przedstawiająca w bratnim uścisku włoskiego bersagliera, Turka i Araba.



**Po wojnie:** Pociąg, w którym podpisano zawieszenie broni pod Czataldżą.

## Z życia wiedeńskiej Polonii.

Liczba Polaków, stale przebywających w Wiedniu, jest dosyć znaczna. Żyjąc wśród obcego otoczenia, są oni złączeni w kilku stowarzyszeniach i pracują wspólnie bardzo energicznie nad utrzymaniem ducha narodowego i łączności towarzyskiej. Praca ta jest bardzo owocna, zwłaszcza, iż na jej czele stanął szereg ludzi, którzy z zamiłowaniem jej się oddają, starając się zarazem i o to, aby społeczeństwo polskie i kraj nasz w stosunku do obcych stanęły w jak najkorzystniejszem oświetleniu.

Na pierwszem miejscu stoi działalność księżnej Maryi Lubomirskiej, zawsze chętnej i na cele narodowe zawsze ofiarnej. Dzielnym jej współpracownikiem jest radca sekcyjny w ministerstwie dla Galicyi dr J. Twardowski, oraz radca ces. Karplus, którzy dokładają usilnych starań, aby sprawy polskie w Wiedniu znalazły odpowiednie uznanie.



**Z życia wiedeńskiej Polonii:** Radca cesarski Karplus.

Celem zainteresowania publiczności niemieckiej i zagranicznej pięknością naszego kraju podjął przeszłego roku komitet z ks. Lubomirską na czele usilne w tym kierunku starania. Jedną z najważniejszych rzeczy było pomieszczenie zdjęć Galicyi w kinematografie. Przy pomocy Kraj. Związku turystycznego oraz z pomocą wiedeńskiego delegata Związku p. Koperskiego operator firmy Pathé Freres objechał całą Galicyę, zdejmując najpiękniejsze jej widoki, pomniki historyczne i zabytki.

Przed kilkunastu dniami odbyło się w Wiedniu pierwsze przedstawienie tych filmów, które zyskały ogólne uznanie.



Turek, Arab i włoski bersaglier



**Po wojnie:** Oficerowie bułgarscy badają jeńca tureckiego.



**Po wojnie:** Przybycie pełnomocnika tureckiego Nazima baszy do Czataldży na rokowania o zawieszenie broni.

W dzisiejszym numerze podajemy podobizny dwóch popularnych działaczy polskich w Wiedniu, szefa sekcyi dr Twardowskiego i radcy dr Karplusa.

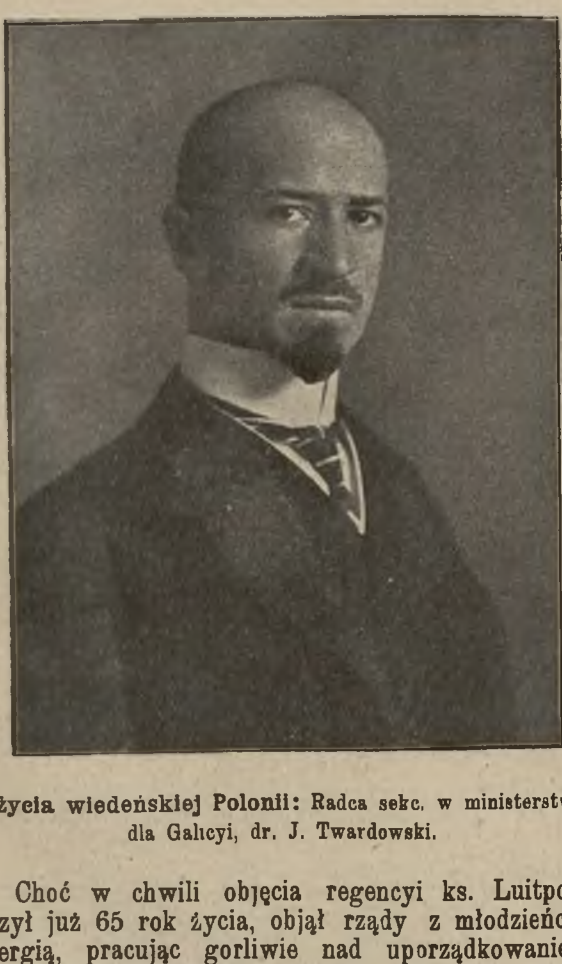
## Pięćdziesięciolecie wydawnictwa Tow. rolniczego.

Nie rozgłośny, lecz poważny jubileusz obchodzi galicyjski świat rolniczy. Obecnie ubiega 50 lat od czasu założenia „Tygodnika rolniczego“, organu c. k. Towarzystwa rolniczego krakowskiego — pisma, które jakkolwiek datuje 30 rok istnienia wskutek przerwy w wydawnictwie tem przed 30 laty, obchodzi przecież obecnie jubileusz 50 letni. Kawał to czasu, w którym „Tygodnik rolniczy“ był zawsze wyrazem dążeń Towarzystwa rolniczego, działalność jego ściśle łączyła się zawsze z dążnościami Towarzystwa, zmierzającemi do coraz większego rozkwitu rolnictwa, jak i kooperatywy gospodarczej wogóle. C. k. Towarzystwo rolnicze krakowskie na terenie swojej działalności, którą stanowi Galicya zachodnia, nie tylko liczy ogromną ilość członków w każdem ze swoich powiatowych Towarzystw rolniczych, których wydatna praca tak znakomicie wyraża się w licznie urządzanych kursach rolniczych, wiecach rolniczo-oświatowych, w podniesieniu hodowli i produkcyi ziemi, ale ma i liczne spółki rolniczo-handlowe w różnych miejscowościach kraju oraz spółki wytwórcze, które rozwijając się znakomicie, zapewniają rolnikom daleko lepsze warunki gospodarcze na przyszłość. Wyrazem wszystkich tych dążności jest „Tygodnik rolniczy“, którego obecny redaktor naczelny p. Stanisław Jasiński, będąc sam zamiłowanym kooperatystą, a zarazem wytrawnym pracownikiem na niwie społeczno-gospodarczej, przestrzega jak najściślej zasad ideowych tego organu, o tak wielkiej tradycyi i o takiej świadomej programowej pracy na przyszłość. P. Jasiński jest także naczelnym redaktorem „Okólnika rybackiego“, organu krajowego Towarzystwa rybackiego, a przytem z ramienia Komitetu c. k. Towarzystwa rolniczego opiekunem Spółek producentów bydła i trzody chlewnej. W ciągu tego roku założył p. Jasiński takich spółek 18 w różnych miejscowościach naszego kraju. Mając sam bezpośrednią styczność

## Zgon najstarszego monarchy.

W tych dniach zmarł najstarszy z monarchów, sędziwy regent bawarski, książe Luitpold, przeżywszy lat 92.

Zmarły, trzeci syn króla Ludwika I., objął regencyę króiestwa Bawaryi 10 czerwca 1886 r., jako zastępca chorego na umyśle króla Ludwika II. W trzy lata po ogłoszeniu regencyi nastąpiła tragiczna śmierć Ludwika II. w wodach jeziora Starnbergskiego. Luitpold zatrzymał regencyę, ponieważ młodszy brat Ludwika II. również został nawiedzony chorobą umysłową, trwającą do dnia dzisiejszego.



**Z życia wiedeńskiej Polonii:** Radca sekc. w ministerstwie dla Galicyi, dr. J. Twardowski.

Choć w chwili objęcia regencyi ks. Luitpold liczył już 65 rok życia, objął rządy z młodzieńczą energią, pracując gorliwie nad uporządkowaniem nadszarpanych poprzednimi rządami finansów krajowych, co w zupełości się powiodło. W ciągu 26-letniego okresu rządów potrafił zapewnić Bawaryi normalny rozwój ekonomiczny, a pozostał przytem wierny tradycyi domu Wittelsbachów w popieraniu sztuk pięknych. Ze światem artystycznym utrzymywał osobiste przyjacielskie stosunki, które ożywiała prostota, wolna od wszelkiej etykietalnej sztywności, co zaskarbiło mu ogólną sympatyę ludności. Zmarły książe-regent był też jedną z najpopularniejszych postaci w Bawaryi.



**...on na... ...chy:** Zmarły rejent bawarski ks. Luitpold z pra...

z wsią i rozumiejąc doskonale jej postulaty, założył nadto w Łoniowach (pow. Brzeski) pierwsze w kraju spółki: rolniczą rybacką i rolniczą piekarską, nie licząc wielu innych Stowarzyszeń wiejskich.



**Święto dzieci:** Dzieci w strojach krakowskich, biorące udział w obchodzie św. Mikołaja, urządzonym przez Koło Pań Tow. szkoły ludowej w Krakowie.

Nic przeto dziwnego, że pod jego kierunkiem „Tygodnik rolniczy" rozwija się doskonale.

W jubileuszowym roku zasyłamy pożytecznemu wydawnictwu „Szczęść Boże!"

## Swięto dzieci...

Gdy zbliża się dzień św. Mikołaja, największa radość panuje wśród dziatwy, która z utęsknieniem oczekuje tego dobrego staruszka, który rozdaje podarki i łakocie... Dzień ten jest też prawdziwem świętem dzieci, które bawią się także na licznych obchodach św. Mikołaja. Taki obchód urządziło też w Krakowie Koło Pań Tow. szkoły ludowej. Sala „Przyjaźni" zapełniła się po brzegi tak dziećmi, jak i dorosłymi.

Na program złożyły się pięknie wykonane śpiewy chóralne panienek, deklamacye i dwie jednoaktowe sztuczki, wykonane przez dzieci. Punktem kulminacyjnym obchodu był naturalnie św. Mikołaj, który wszedł na salę z niezliczoną ilością gustownych i smacznych podarków i obdarzył około 200 grzecznych dzieci. Koroną całego wieczoru był krakowiak, przepięknie odtańczony przez 16 scioro dzieci w kostyumach, które, przygotowane przez znanego artystę i nauczyciela tańców p. Leopolda Pol Dolińskiego, musiały kilkakrotnie taniec powtarzać na usilne żądanie publiczności. Tak dorośli, jak i dzieci wynieśli też miłe wspomnienie z wieczoru, który dzięki staraniom komitetu wypadł pod każdym względem świetnie.

## Po wojnie.

Mimo pozornego spokoju, jaki wobec zawieszenia broni na terenie walk bałkańskich nastąpił, wrze jednak i przygotowuje się dalsza walka. Grecya, podobno na podstawie porozumienia państw związku bałkańskiego, nie podpisała zawieszenia broni i prowadzi wojnę dalej. Koncentruje się ona w dwóch kierunkach. Armia grecka w okolicach Janiny stara się zepchnąć wojska tureckie ku północy, aby zająć południową Albanię. Ponieważ jednak teren ten jest bardzo górzysty, Turcy bronią się skutecznie przeciw wszelkim atakom, tak iż zastępy greckie bardzo mozolnie posuwają się naprzód. Z drugiej strony flota grecka prowadzi akcyę przeciw Turkom na morzu Egejskiem. Jedna po drugiej poddają się wyspy, które pozostawały dotychczas pod zwierzchnictwem tureckiem.

U wejścia do Dardanellów stróżują okręty wojenne greckie, oczekując na flotę turecką, która jednak nie ma odwagi ukazać się na pełnem morzu. Ciągle jednak przychodzi do starć między torpedowcami obu przeciwników.

Ciekawym także jest fakt, jaki zaszedł w oblęganem przez Czarnogórców Skutari. Kiedy konsul niemiecki zawiadomił komendanta tureckiego twierdzy o tem, że w Czataldży został podpisany rozejm, ten nie przyjął tego do wiadomości, ale oświadczył, że w walce nie uczyni żadnej przerwy.

Turcy nie bardzo też stosują się do postanowień rozejmu. Wprawdzie nie przewożą nowych wojsk z Azyi, ale zato fortyfikują coraz lepiej linię Czataldży oraz koncentrują w Azyi znaczne posiłki, które w razia zerwania rokowań natychmiast będą mogli przerzucić do Europy. A wtedy, kto wie, jak się państwom związkowym zacznie powodzić. Partya wojenna turecka ufa, że Turcya nie tylko odbierze wtedy to, co straciła, ale że potrafi ukarać „niegrzecznych" sąsiadów.

Możemy więc w najbliższych tygodniach doczekać się nowej wojny, która może odrazu zmienić dotychczasowy stan rzeczy. Mimo pokoju, burza ciągle wisi w powietrzu, a wybuch jej zależy od wyniku londyńskich rokowań.



Tow. rolniczego: Stanisław Jasiński, ...ygodnika rolniczego".



**Po wojnie:** Jeńcy tureccy w Salonikach.

Jerzy Ohnet.

# Śmierć Bonapartemu!

15)

Byłożby to możliwe, by kosztem jego wydania ulżyła własnemu sumieniu i odsunęła od siebie wszelkie niebezpieczeństwo? Za nic w świecie, nawet za cenę własnego życia. Nic jej tedy nie pozostawało, jak dokonać podjętego dzieła, uwolnić Saint-Régeant'a od strasznego niebezpieczeństwa. Pozatem: płakać, modlić się, pokutę czynić za błędy już popełnione, i za te, które w przyszłości popełni. O drugiej po północy ocknęła się z bolesnego zamyślenia. Nad uśpionem miastem zaległa cisza. Pusto było na ulicy, lecz policya czuwała niezawodnie i korzystała z cieniów nocy dla podjęcia dalszych poszukiwań.

Lerebourg wstał codziennym zwyczajem o szóstej i udał się przedewszystkiem na strych, gdzie leżał Saint-Régeant. Żonę zastał zajętą zmianą opatrunku. Młodzieniec czuł się bez porównania lepiej i nie wątpił, że na przesiedlenie sił mu starczy. Przepraszał Lerebourg'a za to, że go narażał na niebezpieczeństwa.

— Wzrosłyby one, gdybyś pan u mnie dłużej pozostał — odrzekł kupiec z prostodusznością, która miała znośne pozory odwagi. — Lecz żądam od was, Leclerc, słowa honoru, że skoro bez szwanku wyjdziecie z tego zajścia, nigdy już więcej nie przyłożycie ręki do podobnego dzieła.

— Przyrzekam i przysięgam — zgodził się i smutno się przytem uśmiechał. — Kto miał nieszczęście przelać tyle krwi napróżno, temu nic nie pozostaje, jak umrzeć, lub zejść ludziom z oczu. Opatrzność pokieruje losem mym, jak zechce. Lecz wstręt czuję do samego siebie i niczego tak nie pragnę, jak zadość uczynić za zło wyrządzone. Dwojaka ku temu droga: śmierć lub modlitwy.

— Nie poddawajcież się przygnębieniu. Człowiek, jak wy, młody, nie usuwa się od świata w klasztorne zacisze, na samotne rozmyślania i skruchę. Można w inny sposób poświęcić się dla dobra ogółu, przez akt wielkiego poświęcenia. Tem samem usprawiedliwia się siebie we własnych oczach. Najbliższem jednak zadaniem jest, wykręcić się cało. To nasz obowiązek.

— Zwłaszcza wobec was, kochany Lerebourg. Byłbym w rozpaczy, gdybym i was naraził... Życzliwość i dobroć, których od was doznałem, przepełniają serce me wdzięcznością...

— Dajcie pokój. Poźniej będzie czas na to, jeżeli się jeszcze w życiu spotkamy. Zostańcie tu z żoną, ja spieszę poczynić przygotowania do waszego wyjazdu.

I zostawił Emilię przy młodym człowieku z całem naiwnem zaufaniem. Z twarzy jej wysmutniałej, zoranej troską i bezsennością, mógł Saint Régeant wyczytać obawę, jaką się torturowała. Cierpiał nad tem niewymownie, lecz nie śmiał ni wyrazić żalu, ni błagać o przebaczenie, gdyż męczarnie młodej kobiety były okupem ich wspólnego, grzesznego szczęścia. Z jej pomocą wstał i ubrał się. Sami byli tuż obok siebie. Nie wymienili ni jednego pocałunku. Siła jakaś niewidzialna jakoby oddzieliła ich na zawsze od siebie, by nigdy już nie zdołali powiedzieć sobie, że się kochają, ni szukać zaspokojenia tej miłości. Z pewnym smutkiem obrócił oczy na Emilię.

— Czyż nie byłoby stokroć lepiej, bym poległ wraz z ofiarami mego czynu. Pomyśl tylko, jakie będzie teraz moje życie, skoro nawet ty oddalasz się odemnie z nieświadomym wstrętem. Słuchaj, dostarcz mi jakiejkolwiek broni, wyjdę na ulicę, oddalę się o jakie sto kroków i aby ciebie tu nie narażać, tam odbiorę sobie życie.

— Biedaku! Jak możesz być tak okrutny i do mnie zwracać się z takiem żądaniem! — boleśnie jęknęła Emilia. — Jedyną mą troską jest twoje ocalenie. A ty zwątpiłeś o wszystkiem... Dozwól mi ochłonąć, przyjść do siebie po tak gwałtownem przejściu. Wiesz dobrze, niestety, że twoją jestem, cokolwiek się zdarzy, i sądzę, że obecnie jest moim obowiązkiem dzielić twój los, twoje koleje. Lękam się jedynie o mego męża, tego uczciwego, tak szlachetnego człowieka, który na nic złego nie zasłużył...

— Tak, słusznie mówisz. Obronić go, zabezpieczyć, należy za wszelką cenę. Nie ma nic, na co byśmy się nie powinni narazić dla jego spokoju.

Podała mu rękę, nieco już uspokojona:

— Dobrze już, dobrze. Takim chcę cię widzieć. Czas na ciebie. Pożegnajmy się, bo może nie ujrzymy się więcej.

Uściskali się po raz ostatni gorąco, dziko niemal, jak gdyby rzeczywiście pocałunek ten miał być ostatnim. Poczem Emilia poszła pierwsza, wskazując ukochanemu drogę na pierwsze piętro. Zwróciła się do niego:

— Poczekaj tu chwilę. Zobaczę, co mąż zrobił.

Zeszła lekko na ciemny jeszcze parter. Po chwili ukazała się w połowie schodów i nie mówiąc słowa, dała mu znak, że ma zejść. Na podwórku czekał wózek towarowy, wyładowany sztukami materyi. Saint Régeant przedostał się z trudem przez pakunki. Ostatnie spojrzenie Emilii, ostatni uścisk Lerebourg'a i na pudło powozu opadła ceratowa przykrywka. Kupiec wszedł na kozioł i ruszył stępa przez ulicę Saint Honoré. Ruch uliczny już się budził: ulicę mijali handlowcy, idący do sklepów, do warsztatów robotnicy. Kupcy podnosili żaluzje u wejścia i wystaw. Straganiarka, układająca właśnie piramidy kapusty, marchwi i rzepy, zawołała:

— Obywatel Lerebourg już w drodze? Ranny ptaszek. I dobrze tak, bo kto rano wstaje, temu pan Bóg daje.

— Spieszę na pocztę przesyłkową, sąsiadko. Tam nie czekają, aż mi się przyjść spodoba.

— Cóż to! — Żandarmi jeszcze przeszukują?

Patrol żandarmeryi posuwał się ku ulicy Saint-Roch. Lerebourg jechał krok za krokiem w stronę Palais Royal. Co chwila przemówił do niego ktoś ze znajomych. Doleciało go, co tapicer Sinoal mówił do oficera żandarmów:

— To obywatel Lerebourg, ten z pod błękitnego kołpaka, No, gdyby ten był podejrzany, należałoby uwięzić całą naszą ulicę. Toż to śmietanka ludzi lojalnych, pokojowych.

Temu zaświadczeniu zawdzięczał niechybnie Lerebourg, że minęła go rewizya wózka. Mijał wolno szeregi żandarmów, a pot śmiertelny oblewał mu czoło. Dopiero za ulicą, gdy się wydostał na wybrzeże, odetchnął swobodnie. Wówczas zaciął konia i po kilku minutach był już na zakręcie na ulicę du Dragon. Tam się zatrzymał. Z kozła dostał się do zamkniętego pudła wozu i rzekł zcicha:

— Leclerc, jesteśmy już na miejscu. Czy czujecie się na siłach, by zejść?

— Przypuszczam. Trzeba się upewnić, że nikt nas nie śledzi.

Lerebourg wyszedł na ulicę. Nie dojrzał nic podejrzanego.

— Chwila sprzyja, idźcie, póki można.

Odsunął skórzaną zasłonę pudła, a Saint Régeant wyślizgnął się ostrożnie i stanął na ziemi. Zwrócił się do Lerebourg'a, a głos drżał mu ze wzruszenia.

— Żegnajcie! Wam życie zawdzięczam, zacny człowieku, co narażaliście dla mnie własne bezpieczeństwo. Odejdźcie, nie zostajcie tu ani chwili.

Oddalał się już, a Lerebourg nie mógł jeszcze przyjść do siebie po tem rozstaniu, pozbyć się obawy na myśl, jak wyprawa skończyć się mogła, przyczem nie mógł opędzić się wyrzutom, iż zamało zrobił dla tego, kogo kochał bez mała, jak syna. Uspokoił się, widząc, jak raźno kroczy Saint-Régeant. Szedł jeszcze za nim wzrokiem, póki mu nie zniknął w bramie z liczbą 35; wtedy westchnął głęboko, wsiadł na wózek, popędził konia i przez bulwary, przez Pola Elizejskie wrócił do siebie.

XIII.

Młody Villiers z pośpiechem i wzorową dokładnością wywiązał się z polecenia, danego mu przez Fouché. Wziął przejeżdżającą dorożkę, kazał zawieźć się do szpitala, mimo, iż droga wiodła przez straszne na owe czasy przedmieście Hanbert, gdzie życia nie było się pewnym. Udało mu się bez przeszkód dotrzeć do bramy starego szpitala z czasów Ludwika XIII, położonego za ogrodem Botanicznym i składami win; w imieniu ministra policyi rozkazał zbudzić dyrektora. Ten dowiedział się teraz dopiero o zabójstwie i kazał natychmiast wezwać dyżurnego lekarza. Poprowadzono obywatela Villiers przez korytarze, ciągnące się bez końca, aż do łoża bladego, raczej przypominającego nieboszczyka Braconneau.

— Jakżeż ten biedak strasznie wygląda — zauważył sekretarz ministra.

— Cudem tylko trzyma się od trzech dni. Kula przeszła go na wskróś. Widocznie kula uraziła kręgos... adził bowiem śladu myśli. — Jest prz... szystko.

— O, źle! Szef przywiązywał wielką wagę do informacyi, których człowiek ten miał udzielić!

— Dziś rano był u chorego doktor Dupuytren... Zajął się nim, jako rzadkim, a skomplikowanym wypadkiem... Jutro będzie tu znowu. Zawiadomię go o życzeniu obywatela Fouché. Zawyrokuje, czy da się uskutecznić!...

— Sądzicie tedy, że możliwe jest zastosowanie środków, któreby przywróciły istotne życie choćby na chwil kilka, temu bezwładnemu ciału?

— Doktor Dupuytren posiada niebywałą wprawę. Wytłumaczymy mu, o co chodzi...

— Dobrze będzie zawezwać go możliwie wcześnie. Chodzi tu o sprawę stanu, która nie powinna ponieść szwanku.

— Należy jednak liczyć się i z prawami natury. Wobec walki z śmiercią ustaje wszelka władza ludzka.

— Bądź, co bądź, liczę na waszą troskliwość, obywatelu. Uwiadomię obywatela ministra o obecnym stanie rzeczy, który zwróci się do was jutro osobiście.

Villiers opuścił szpital. Wszelkie okoliczności zdawały się układać korzystnie dla Saint-Régeant'a. Carbon powrócił po wybuchu najspokojniej w swiecie do swego klasztoru, Limollanowi czas nie pozostawało nic lepszego, jak znaleźć się jak najdalej od stolicy: nim minęła godzina, był już hen za jej rogatkami. Ruszył śpiesznie do Bretanii, by zdać Jerzemu sprawę z całego zajścia. Uważał Saint Régeanta za poległego i nie troszczył się już jego losem. Zażarty bojowiec, oswojony z rzeziami szuanów, nie wiele ważył życie lub śmierć jednostki. W drodze doszła go wiadomość o ocaleniu Bonapartego. Jasno, niezachwianie oceniał sytuacyę. Dla niego jedynem było: zacząć na nowo całą robotę. Tam w stolicy mroki kompletnej niewiadomości ogarnęły zarówno okoliczności, wśród których dokonano zamachu, jak i jego sprawców. Z wózka ostały jeno niekształtne gruzy. Beczka, strzelba, lont, poszły w perzynę. Odnalazły się jeno przednie nogi małego siwka. Agenci Dubois przetrząśli całą dzielnicę, lecz napróżno. Policya Fouché'go nie brała się do dzieła w oczekiwaniu rozkazów. Jedyną nadzieją odnalezienia zagubionych śladów widziano w pilnej obserwacyi pewnego domu przy ulicy Sn. Dragon. Lecz Soufflard i Clément nie ustępowali, z pod Rudego Lwa. I tu wreszcie błysło światełko, które miało rozjaśnić mroki. Pewien inspektor wspomniał w rozmowie z Soufflard'em, iż koń, zaprzężony do wózka z machiną piekielną był białej maści. Na te słowa olbrzym stuknął się w czoło ruchem, zdolnym ogłuszyć wołu. Rzucił mocne przekleństwo i pokraśniał niezgorzej czapki jakobińskiej.

— A to kanalie! Wiem już, kto to! Wystrychnęli nas!

Nie chciał rozwodzić się nad szczegółami, lecz zdał posterunek Clément'owi, a sam pędem pobiegł do sekretarza Fouché'go. Było to o dziesiątej rano. Bonaparte przysłał już Rapp'a po nowiny. Fouché zmuszony był przyznać, iż o niczem nowem nie wie. Adjutant przyjął tę wiadomość ironicznie, traktując go tak z góry, iż Fouché nie mógł sobie wróżyć nic lepszego, jak niełaskę pierwszego konsula. Rapp wezwał na odchodnem ministra do Bonapartego na drugą po południu, nim się zbierze Rada Stanu. Fouché odpowiedział chłodno i twardo, jak gdyby tu nie wchodziło w grę jego powodzenie, a może i życie, iż stawi się punktualnie. Nie wiedział absolutnie, od czego ma zacząć i spuścił się na los trafu: na to wprowadził Villiers olbrzymiego Soufflarda.

— Obywatelu ministrze, człowiek przyniósł ważną poszlakę. Może to początek nitki, która nas doprowadzi do kłębka. Wózek roztrzaskany na rogu ulicy du Chartres, miał siwego konia i dźwigał prawdopodobnie jedną lub kilka beczek. Otóż tedy wczoraj około szóstej zaszło trzech ludzi pod Rudego Lwa, do oberży już oddawna podejrzanej, jako punkt zborny rojalistów; oni to naładowali dwie beczki na wózek o siwej szkapie.

— Jedna z tych beczek, ciągnął Soufflard, zawierała wino. Piliśmy je, pomógłszy przedtem wciągnąć beczki na wóz...

— Tak? — To wy im pomagaliście. Mówiliście tedy z nimi? Jakżeż oni wyglądali? ...nizcy, jak odziani?

— Wyglądali na robotników. Nic ... i ruchach szczególnego nie było... J... źli wino na przedmieście Antoine...

— Było to tedy wino?

— Ze było w jedn...

— A w...

— Co ... mogę wiedzi...

— Villie...

rozkaz przeprowadzenia rewizyi i pójdziecie z tym człowiekiem. Przetrząśniecie Rudego Lwa od piwnicy do komina i zabierzecie wszystko, coby budziło najlżejsze podejrzenie. Bez względu na rezultat poszukiwań przyprowadzicie mi tu oberżystę. Nastraszcie go tak, by mi tu o wszystkich śpiewał. Soufflard powróci na ulicę du Dragon, pilnować domu, który Braconneau uważał za podejrzany. — Zadzwonił

— Przysłać mi tu inspektora, który zebrał wszystko, co zostało na miejscu zamachu... Przepytać wszędzie, czy nie zniknął wózek z siwym koniem. Możecie odejść.

Wsunął się lokaj i oznajmił z tajemniczą miną, że dyrektor szpitala pragnie widzieć się z obywatelem ministrem.

Oblicze Fouché'go wyraziło żywe zainteresowanie. Rozkazał wprowadzić gościa, nie zdradzając najmniejszej zmiany w głosie. Villiers i Soufflard odeszli już, Fouché był sam. Podniósł się, podszedł do lustra, przygładził włosy. Niezwykle umiał zachować zimną krew ten człowiek.

— Co słychać obywatelu dyrektorze? — przywitał tem pytaniem gościa. — Jak sprawa stoi? Czy lekarze doprowadzili do jakiego rezultatu?

— I owszem, obywatelu ministrze, choć dla mnie — to niewiele! Co prawda, lepsze to, jak nic. Młody Dupuytren i doktor Broussais połączyli swe usiłowania, by wyrwać konającego z bezwładności i bezsiły. Broussais krew puścił biedakowi...

— Jeszcze! Chyba nie zostało jej już w żyłach Braconneau.

— Doktor Dupuytren plastrami obłożył mu podstawę czaszki... Który z tych dwu zabiegów poskutkował, niewiadomo... Ostatecznie Braconneau odżył...

— Tak! Chodźmyż tam czemprędzej!

— To zbyteczne, obywatelu ministrze! Wpadł znowuż w agonię... Lecz w krótkim momencie jego przytomności opowiedziałem mu zamach na Saint-Nicaise. Wówczas, jakby zmartwychwstał. Poczerwieniał, jakby na przekór upustowi krwi i zawołał: „Saint-Régeant! To pewne!“

— Czy prócz was nikt słów jego nie słyszał? — zapytał Fouché!

— I obaj lekarze. Bądźcie jednak spokojny, obywatelu ministrze... To tajemnica zawodowa tak dla nich, jak dla mnie...

— Cóż dalej?

— Trzeźwiliśmy omdlałego eterem. Skoro się skrzepił, rzekł mi: „zapisać... dla obywatela Fouché!“ — Podyktował mi, zbierając myśli ostatnim wysiłkiem, który sprowadził niepowrotną agonię — słów kilka, które tu przyniosłem. Wy je możecie zrozumieć, ja w tem nie widzę ładu ni składu i przypisuję gorączce.

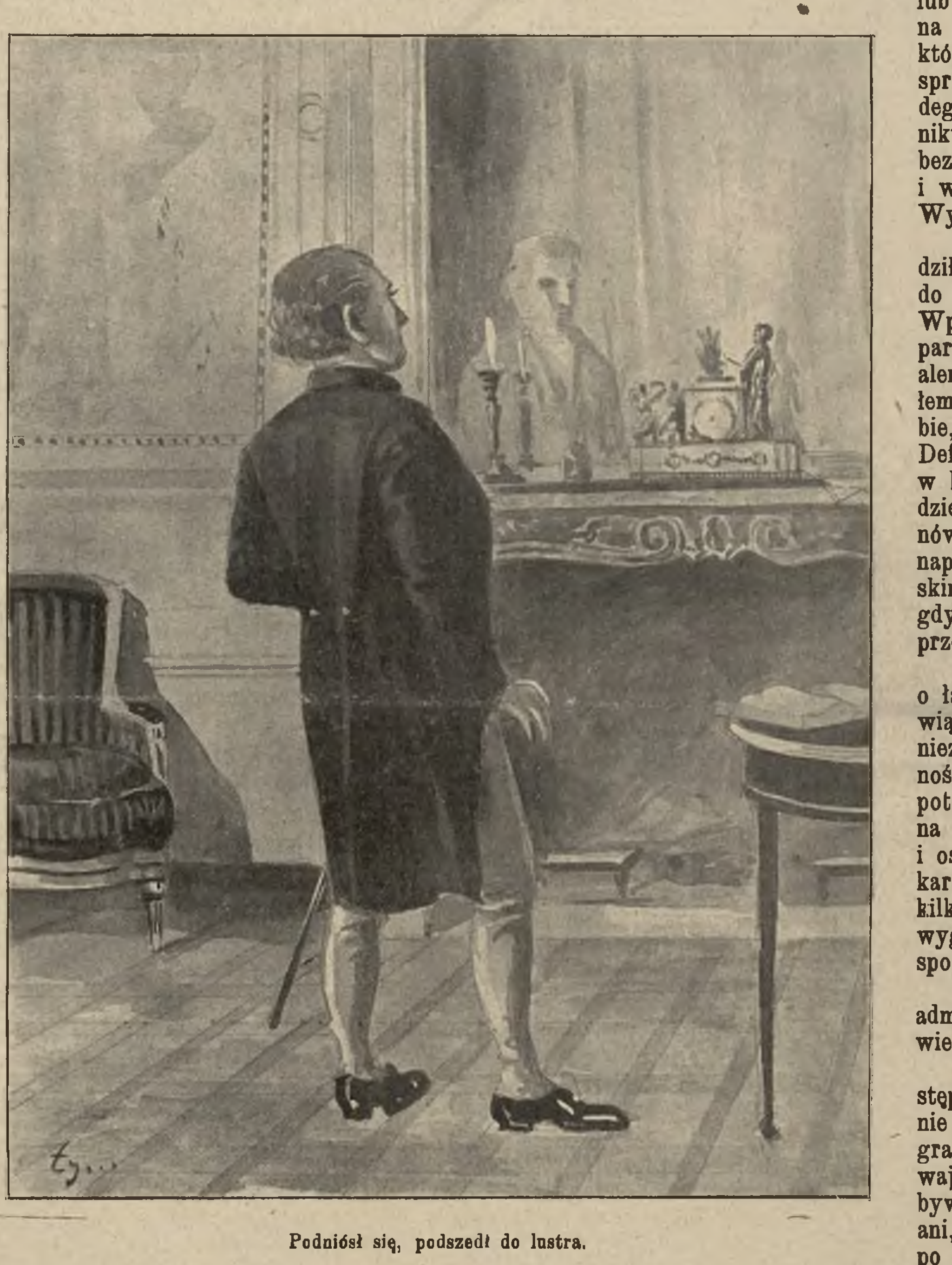
Podał ministrowi kartkę papieru, z której Fouche wyczytał: „Pod Błękitnym Kołpakiem wiedzą o tem... Saint-Régeant-Wiktor Leclerc... obywatelka Lerebourg, ulica du Dragon...

Po odczytaniu tych słów, które mogły robić wrażenie rebusu, Fouché papier na biurku położył i podziękował dyrektorowi szpitala za okazaną gorliwość.

Gdy został sam, pogrążył się w rozważanie rozmaitych znaczeń, które tym słowom można było podsunąć. Wykrzyk policyanta: „To Saint-Régeant!“ — jako najjaśniejszy punkt relacyi dyrektora — wziął za podstawę dociekań. Braconneau nie wątpił: sprawcą zamachu był Saint-Régeant. Przypuszczenie bezwzględnie prawdopodobne. Wandejczyk powrócił z Jerzym i Hyde do Paryża. Ci dwaj opuścili stolicę po widzeniu z konsulem. On tylko pozostał, by wypełnić polecenia komitetu rewolucyjnego. Fouché powrócił do studyowania papieru: „Pod Błękitnym kołpakiem... wiedzą o tem...“ — ... klep „pod błękitnym kołpakiem?“ Obszerna, ... pamięć ministra podsunęła mu natych... óły, tyczące błękitnego kołpaka. Wła... ... mć pan Lerebourg, rządowi gorliwie ... pani Bonaparte i dworu konsula. ... odobna, lecz musiało coś tam ... otoczeniu. Fouché nie ... siła się mgła ... na wskroś,

zbadać, co ukrywa. W tem tkwiła istotnie cała tajemnica, przez Braconneau w kilka słów zestawiona, słów na pozór bez związku, a jednak mieszczących całą treść zagadnienia. Minister raz jeszcze zapiskę odczytał, ważąc każdą sylabę... Chwilę tonął w domysłach, potem uderzył o papier i zaśmiał się z cicha.

Zwycięstwem brzmiał ten śmiech i zarazem przerażał. Fouché uchwycił klucz zagadki. Teraz pewien był ujęcia winnych. Zestawienie dwu nazwisk: Saint-Régeant-Wiktor Leclerc było błyskiem, rozjaśniającym ciemności, w których przebywał. Wspomniał raport Braconneau o poznaniu się Lerebourga z Wiktorem Leclerc, o nagłej ich przyjaźni a przedewszystkiem o sympatyi, okazywanej przez obywatelkę Lerebourg, rodem z Wandei, współziomkowi Saint-Régeant. W tem świetle sprawa przedstawiała się bardzo prosto. Pod Błękitnym Kołpakiem wiedziano o wszystkiem, czego szukał Fouché: gdzie był Saint-Régeant, w jaki sposób dokonano zbrodni, z czyją pomocą i gdzie schronili się sprawcy. Wystarczyło jedynie wziąć się do personalu



Podniósł się, podszedł do lustra.

sklepowego pod Błękitnym Kołpakiem. Minister już już rękę do dzwonka podnosił, gdy nagłe opamiętanie ruch ten w pół przerwało. Kim się zająć wśród owego personalu? Kto mógł być wspólnikiem i ilu ich było? Uwięzić Lerebourg'a i żonę jego, zgoda. Lecz czy puścić wolno subjektów, panny sklepowe, lokaja? Czyż wśród nich nie znalazłby się oddany sprzymierzeniec i nie dał znać Saint-Regeant'owi o grożącem niebezpieczeństwie? Fouché znów zagłębił się w dociekanie znaczenia słów tajemniczych. Brwi zmarszczył. Udało mu się samego siebie, człowieka zimnego i rozważnego, złapać na gorączkowem roztargnieniu. Te dwa rozstrzygające słowa: „obywatelka Lerebourg“ — wymknęły się jego uwadze: „Obywatelka Lerebourg — ulica du Dragon“. Bezwątpienia była to kryjówka Saint-Régeant'a, gdzie się, być może, jeszcze ukrywa. A „obywatelka Lerebourg“ umieszczona obok ulicy „du Dragon“. — A zatem, szła tam. Lecz w jakim charakterze i dlaczego?

Fouché bez wahania przyjął, że tu w grę wchodzi miłość i oparł na tem daleko idące nadzieje. Jeżeli los chciał, by obywatelka Lerebourg była kochanką Saint-Règeant'a, trafiłem w sedno — myślał minister. Ale nie należy się śpieszyć, trzeba

zostawić sobie czas do namysłu. Nad ulicą du Dragon straż czuwa. Błękitny Kołpak nie zając, nie ucieknie. Uchwyciłem nici spisku. Mogę już wyjść zwycięsko z posłuchania u konsula. Będzie mnie oczekiwał przed zebraniem Rady stanu. Teraz pójdę do niego nawet z pewną satysfakcyą. Na placu boju nikt mu nie dorówna. Lecz w zakresie działania policyi nie widzę równego sobie... Staniemy jak mocarz w obliczu równego sobie mocarza.

Fouché kazał podać sobie śniadanie w swym gabinecie. Wydał rozkaz sekretarzowi swemu, Villiers'owi, by się udał o godzinie czwartej dorożką do sklepu pod Błękitnym Kołpakiem i przywiózł obywatelkę Lerebourg na rozmowę z ministrem.

— Gdyby zapytała, o co chodzi, powiesz jej, że chcę prawdopodobnie sam zrobić osobiście zamówienia na dostawy. Bądź jak najswobodniejszy, by jej nie nastraszyć. O ileby się zaniepokoiła, zapewnij ją, że nie jestto żadna sprawa urzędowa. Lecz nie spuszczaj jej ani na chwilę z oka, nie dozwól zwłaszcza, by zjadła cośkolwiek. Żadnego otrucia! Gdyby się zdarzyło, żeby mąż chciał ją zastąpić, lub towarzyszyć jej, nie możesz się na to zgodzić. Krótko mówiąc, gdyby którekolwiek z nich chciało ci się sprzeciwić, zaaresztujesz ich, a u każdego wejścia umieścisz agenta, by nikt, nawet odźwierny, nie mógł wyjść bez pozwolenia. Zrozumiałeś? To i wszystko — każ po mnie zajechać. Wybieram się do Tuileryi.

Pierwsza była, gdy Fouché wchodził do przedpokoju, przylegającego do gabinetu pierwszego konsula. Wprowadzono go bez zwłoki. Bonaparte naradzał się był właśnie z Realem, Tribeaudeau, Defermon, admirałem Truquet, z ludźmi oddanymi sobie, lecz bardzo różnymi w obejściu. Defermon i Truquet nie obwijali nic w bawełnę. Za to dwaj pierwsi przedzierzgnęli się z niedawnych Jakobinów w dworaków bez zarzutu. Bonaparte powitał Feuché'go lekkiem skinieniem głowy i mówił dalej, jak gdyby minister policyi był przy poprzedniej rozmowie:

— Nie o siebie się troskam, lecz o ład społeczny, nad którym obowiązany jestem czuwać. Jestem tak niezachwianie przekonany o konieczności pewnych represyi, że w razie potrzeby zdecydowałbym się przyjąć na siebie niepodzielnie rolę trybunału i osądzić zdrajców, zasługujących na karę natychmiastową. Należy skazać kilkunastu na śmierć, a kilkuset na wygnanie, wówczas wszystko się uspokoi.

Cisza zaległa dokoła, po chwili admirał Truquet odważył się odpowiedzieć:

— Mówi się tu o zgnębieniu przestępców, lecz jest ich kilka rodzajów, nie wyłącznie rewolucyoniści. Są i emigranci, wracający masowo, i ci odzywają się z pogróżkami przeciwko nabywcom dóbr narodowych. Są i szuani, wiodący bezustanną partyzantkę po lasach; są i księża, co na południu podniecają gorącemi słowy ludność celem wywołania kontrrewolucyi.

— Cóż znowu, obywatelu Truquet — zaoponował pierwszy konsul — waszem tedy zdaniem tych kilku staruszków, którzy wrócili do kraju, by tu w spokoju przeżyć dni ostatek, kilku księży, którzy odważyli się podnieść głowę, są niebezpieczni dla spokoju ogólnego? Czyż z racyi ich bytu mamy głosić straszne niebezpieczeństwo kraju? Nie. Zguba grozi ze strony rewolucyonistów, grozi zarówno mnie, jak wam. Czy możecie łudzić się co do ich względem siebie uczuć? Oni to głoszą na wsze strony, iż zdrajcami jesteście. Uważają was za rojalistów. Miałżebym zatem wywieźć was na Sinnamari, lub Madagaskar, a jutro złożyć nową radę stanu z Baboeuf'em na czele? Mnie nikt nie zwiedzie, wiem, gdzie szukać źródła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Sławny czeski chór w Krakowie.

Wśród najrozmaitszych koncertów wokalnych, instrumentalnych, jakoteż poszczególnych wirtuozów, mało słyszało się u nas produkcyi męskiego śpiewu chóralnego w formie prawdziwie artystycznej, produkcyi, które możnaby postawić na równi z pierwszorzędnemi produkcyami orkiestralnemi.

Od 10 lat uprawia taki chóralny męski śpiew z pełnem powodzeniem Związek śpiewacki 50 morawskich nauczycieli pod umiejętnem kierownictwem prof. Vacha. Produkcye tego chóru wywołały podziw nietylko u swoich ziomków, lecz także w świecie muzycznym w Niemczech i Francyi.

Koncerty tego towarzystwa śpiewackiego cieszą się takiem powodzeniem, że bilety wstępu wnet po pojawieniu się ogłoszeń bywają zupełnie wysprzedane. Gdy przed rokiem chór ten urządzał dwa koncerty w Hradcu Królowej, mieście o 10-tysięcznej ludności, już kilka dni przed koncertem otrzymał od miejscowego aranżera zaproszenie na trzeci koncert, by dać możność całej publiczności usłyszenia produkcyi tego fenomenalnego chóru.

Jeżeli przyjmiemy za cel muzyki połączenie dusz twórcy, interpretatora i słuchacza, zwłaszcza, gdy twórcą jest genialny kompozytor, interpretatorem artysta, a słuchaczem średnio wykształcony człowiek, przyczem nie należy pomijać i wychowawczego celu, t. j. uszlachetnienia duszy, to Związek śpiewacki morawskich nauczycieli konsekwentnie do celu tego zmierza i ideę swoją propaguje nietylko wśród swoich, lecz daleko poza granicami ojczyzny.

Dnia 23 grudnia b. r. i Kraków będzie miał sposobność usłyszeć produkcyę tego znakomitego chóru w sali Starego Teatru. Ze względu na mnóstwo krytyk, wyrażających jak największe pochwały dla tego Związku, niewątpliwie i tutejsza publiczność przyjmie morawskich gości tak, jakiego przyjęcia doznali oni wszędzie, zarówno w swym własnym kraju jak i za granicą.



Gwiazdka i przemysł: Wystawa zabawek bawełnianych, urządzona we Lwowie przez Ligę pomocy przemysłowej.



Gwiazdka i przemysł: Wystawa zabawek bawełnianych, urządzona we Lwowie przez Ligę pomocy przemysłowej.

## Nowa biblioteka Krasińskich w Warszawie.

Warszawa pozyska niebawem wspaniały gmach, który nie tylko będzie ozdobą miasta, ale stanie się poważnym czynnikiem w rozwoju polskiej nauki i polskiej kultury. Buduje go własnym kosztem Edward hr. Krasiński, syn dzisiejszego ordynata, znany jako zasłużony protektor i prezes Tow. opieki nad zabytkami przeszłości — aby pomieścić w tym nowym pałacu bogate zbiory Biblioteki ordynacyi Krasińskich, które dotychczas z braku odpowiedniego pomieszczenia nie były dostępne dla szerszego grona polskich uczonych.

W tych dniach właśnie odbyło się poświęcenie fundamentów pod nowy gmach, który stanie przy ul. Okólnik. Pierwszą cegiełkę położył biskup warszawski ks. Ruszkiewicz, a następne członkowie rodziny fundatora.

Gmach ma być ukończony na jesień roku przyszłego, a oddany do użytku publicznego w r. 1914. Koszt budowy wyniesie 300.000 rb., który to fundusz hr. Krasiński osiągnął ze sprzedaży rodzinnego majątku Radziejowice, nabytego przez hr. Martę Krasińską. Plany pięknego gmachu wykonali architekci Gay i Nagórski.

W fundamentach nowej biblioteki hr. Krasińskich został wmurowany następujący akt erekcyjny:

„W stuletnią rocznicę urodzin Zygmunta Krasińskiego, ku nieśmiertelnej rzeczy pamięci.

Edward Krasiński, syn ordynata Józefa i Heleny ze Stadnickich, szczęśliwy z podjęcia dzieła, o którem marzyli Konstanty Świdziński i rodzina Krasińskich, w obecności niżej podpisanych, kładzie kamień węgielny pod gmach dla Biblioteki i Zbiorów Ordynacyi Krasińskich, własnym stawiany sumptem, pragnąc w tych murach zabezpieczyć skarby przeszłości skrzętną ręką minionych pokoleń gromadzone i ocalone od zagłady, udostępnić je współczesnym, a przekazać potomnym ku chwale i pożytkowi nauki polskiej, kraju i rodzimej Warszawy".




Nowa Biblioteka Krasińskich w Warszawie: Fasada nowego gmachu Biblioteki, wznoszonego przy ulicy Okólnik, według projektu architektów Henryka Gaya i Juliusza Nagórskiego.

(Fot Maryan Fuks. Warszawa).



Nowa Biblioteka Krasińskich w Warszawie: Uczestnicy uroczystości poświęcenia fundamentów pod budowę nowego gmachu: 1. Mecenas Osuchowski. 2. Tadeusz Korzon. 3 Fundator nowej biblioteki Edward hr. Krasiński. 4. Ordynat Maurycy hr. Zamoyski. 5. Budowniczy Nagórski.

# Kronika tygodniowa.

„Maluczko, a nie ujrzycie mnie!“ powiada do nas staruszek, rok 1912. i na swem łożu boleści oczekuje tej smutnej chwili, gdy w komnacie sypialnej rozlegnie się głos marszałka dworu: *Le roi est mort!...* a w chwilę potem, gdy skazówka zegarowa przejdzie poza dwunastą, odezwą się weselsze tony, głoszące: *Vive le roi!...*

Tu i ówdzie nie braknie i szampana, życzenia posypią się, jak z rogu obfitości, ogólne nastanie zaciekawienie, czy następca wejdzie w ślady poprzednika, czy też będzie gorszym lub lepszym od niego.

W oczekiwaniu tej przełomowej chwili pędzimy na tym c. k. padole płaczu żywot wcale nie do pozazdroszczenia, dzięki bowiem nieustającemu wcale naprężeniu wojennemu, stosunki ekonomiczne tak się fatalnie pogorszyły, jak nigdy dotąd. Nawet w czasie aneksyi Bośni, gdy lada dzień spodziewano się wybuchu wojny, sytuacya nie była tak opłakaną, jak dzisiaj i to właśnie w przededniu świąt Bożego Narodzenia, kiedy to każdy powinien się cieszyć i radować!

A jak można się cieszyć, gdy w kieszeni taka golizna, że aż trzeszczy, gdy po prostu brakuje człowiekowi floty już nie na sprawienie na wigilię jakiegoś szczupaka lub choćby karasia, ale nawet na tak taniego i popularnego śledzia!

Kto miał bodaj kilka koron w kasie, wycofał je z obawy przed wojną, no i tymczasem rozeszły mu się, kredyt upadł, moratoryum ani rusz się doczekać, jednem słowem ogólna klapa i to w najlepszym gatunku, na jaką tylko Austrya może sobie pozwolić!

A Serbia, ów kraik królo- i świniobójców, ani myśli zerwać ze swą dotychczasową polityką. Nie tylko nie obiecuje poddać się żądaniom potężnego sąsiada, ale owszem zapowiada, że nie obawia się wcale pogróżek Austryi, iż zajmie ona Serbię, gdyż byłoby to powodem wojny ogólno-europejskiej, która musiałaby się zakończyć rozbiorem Austryi. A w tym wypadku oblowiłaby się i Serbia porządnie i już nawet wyznaczyła sobie, które to prowincye powinny się dostać pod jej berło.

Apetycik bardzo łatwo dający się wytłumaczyć, niestety, prawdopodobnie nie będzie nigdy zaspokojony, gdyż już i Europie sprzykrzyły się te bałkańskie komedye, które nie prowadzą do żadnego rezultatu.

Prasa zagraniczna rozpisuje się o stosunkach austryacko serbskich w ten sposób, że człowiekowi włosy stają dęba na głowie, nasza, rzecz prosta, milczy z musu, choć, gdyby się od czasu do czasu odezwała, byłoby to może i lepiej, gdyż niejedną sprawę mogłaby wytłumaczyć, niejednego pouczyć i uspokoić, a tak, daje się tylko szerokie pole do różnych fantastycznych opowiadań i baśni, przybierających nieraz wprost potworne kształty!

Niewiele brakowało, a kto wie, czy nie byłby się znalazł mądry polityk, któryby nie odkrył stycznych punktów między onegdajszym orkanem a obecną sytuacyą... Przecież to tak łatwo wytłumaczyć każdemu, że to Serbowie, zagniewani na Austryaków, powyłazili na swe góry i dmuchają i gwiżdżą w stronę naszej biednej monarchii. Ona to cierpliwie znosi, a pod tysiami dyplomatów na Ballhausplatzu we Wiedniu rodzą się tymczasem nowe projekty, jak utrzymać pokój, przynoszący daleko większe szkody, niż nawet najzawziętsza wojna.

Dziennikarzom politycznym brakło już konceptu do tytułów artykułików z pola walki. Bałkan, wojna, sytuacya i inne tego rodzaju rzeczowniki odmieniano z wszelkiemi możliwemi przydawkami we wszystkich przypadkach i liczbach!

Z dniem jednak dzisiejszym, to jest od połowy grudnia, nastało stanowcze polepszenie i to na korzyść pokoju.

Tak przynajmniej informuje nas prasa wiedeńska, stojąca stale na usługach giełdy.

Złożyły się zaś na to dwie okoliczności.

Pierwszą z nich to ogłoszenie wyników śledztwa w sprawie konsula Prohaski, z których widać, że pogłoski, jakoby go trzymano we więzieniu, znieważono czynnie lub okaleczono, były zupełnie bezpodstawne.

Także i wieści, jakoby Edla spotkał ten sam los, były tylko tendencyjnie szerzone przez tych, którym widocznie zależało na podsycaniu antiserbskiego nastroju w Austro Węgrzech.

Śledztwo to, prowadzone z ramienia ministerstwa spraw zagranicznych, przeciągnęło się nieco z powodu zbyt wielkiego oddalenia i trudności, wywołanych przez sytuacyę wojenną, obecnie jest już jednak ukończonem, a uspakajający komunikat rozesłało o niem wiedeńskie c. k. Biuro korespondencyjne.

Komunikat ten stwierdza jednak, że serbskie władze wojskowe dopuściły się kilkakrotnie ze stanowiska międzynarodowego *krzyczących nieprawidłowości* względem tamtejszego konsulatu i jego personalu. O wykroczeniach tych doniesie się królewskiemu rządowi serbskiemu z żądaniem odpowiedniego zadośćuczynienia. Niema powodu przypuszczać — kończy ów urzędowy głos — aby rząd serbski, który względem naszego delegata ministeryalnego zachował się wprost życzliwie, odmówił tego zadośćuczynienia.

Kwestya więc Prohaski schodzi z porządku dziennego, z tonu bowiem enuncyacyi rządowej widać, że owe krzyczące nieprawidłowości nie musiały być znów tak bardzo krzyczące, więc też i zadośćuczynienie nie powinno być zbyt daleko idącem i jako takie nie do przyjęcia.

Pozostaje jedynie do uregulowania sprawa portu serbskiego nad Adryatykiem, a tem zając się ma *reunion* ambasadorów, zbierający się w Londynie, niezależnie od konferencyi pokojowych, które już się rozpoczęły.

Otóż drugą okolicznością, każącą się spodziewać, że ów bałkański węzeł rozwikła się bez potrzeby użycia ostrzejszych narzędzi, jest bezpośrednio przed owemi zgromadzeniami ogłoszone oświadczenie serbskie, nadesłane przez Biuro Reutera.

Według niego, gdyby okazało się pożądanie rokowań między Serbią a Austryą, to rząd serbski najwyraźniej oświadczy życzenie utrzymywania przyjaznych stosunków z Austro-Węgrami, jednakże pod warunkiem zupełnego utrzymania niezawisłości Serbii Serbia zgodziłaby się też na autonomię Albanii, gdyby jej przyznano jeden port albański, choćby nawet pod warunkiem, że nie wolno jej go fortyfikować. Dalej oświadczyłaby gotowość przyznania Austro-Węgrom prawa pierwszeństwa co do udzielania pożyczek, co do robót publicznych i przyznałaby im największą faworyzacyę handlowo polityczną. Celem podjęcia rokowań Serbia byłaby gotową wysłać swych delegatów do Wiednia.

Jeśli to więc prawda, co podaje Biuro Reutera, w takim razie trzeba powiedzieć: *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* i radzić mamie Austryi, aby przyjęła warunki serbskie, choć wiem, że ta historya z owym portem stanowczo się naszym dyplomatom nie spodoba. Jeśli jednak zaklinają się Serbowie, że chcą tylko łapać ryby i kąpać się, a nie będą go fortyfikować, to czegóż im robić trudności?

Ale może to tylko kaczka dziennikarska, ta cała rzekoma serbska enuncyacya, bo to teraz kaczki są w modzie. a nie dalej, jak onegdaj upolowała jedną *Gazeta poniedziałkowa*, podając sprawozdanie z obchodu setnej rocznicy urodzin Kraszewskiego.

Czytamy tam, co następuje:

„Po odegraniu przez orkiestrę „Bajki“ Moniuszki, przemówił serdecznie i podniośle, najbardziej może u nas zasłużony koło szerzenia kultu Kraszewskiego, K. Bartoszewicz. Podniósł on przedewszystkiem ogromne znaczenie wychowawcze dzieł Kraszewskiego, zwłaszcza dla młodzieży“.

Tymczasem w innych pismach, które w poniedziałek opuściły prasę drukarską, widzimy czarne na białem:

„Po odegraniu przez orkiestrę „Bajki“ Moniuszki, w zastępstwie nieobecnego Kazimierza Bartoszewicza, powitał zebranych w krótkich a serdecznych słowach prof. dr. Maurycy Straszewski“.

Kto więc miał racyę? Zdaje mi się, że ta druga serya dziennikarzy, o ile bowiem wiem, pan Bartoszewicz w dniu tym z powodu słabości nie wychodził z domu.

W każdym razie jest to piękna illustracya dokładności i sumienności niektórych informacyi dziennikarskich.

Zdarzenie to przypomina wesołą historyjkę z przed kilkunastu lat. Na niedzielę popołudniu ogłoszony był w amfiteatrze Nowodworskim odczyt, jeśli się nie mylę, profesora Ziembickiego.

W poniedziałek pojawiły się w krakowskich pismach sprawozdania tej treści:

Jedno z nich, nie pomnę, czy to był już „Głos Narodu“, czy jeszcze ś. p. „Kuryer Polski“ Ordowskiego, podał wyczerpującą notatkę, rozwodząc się długo i szeroko nad tem, jak to prelegent ze znaną sobie rutyną i swadą, po mistrzowsku rozwinął temat obrany, jak zajął nim nadzwyczaj licznie zebranych słuchaczy, którzy mu po ukończeniu wykładu podziękowali serdecznymi i długotrwałymi oklaskami.

Natomiast równocześnie w „Czasie“ i „Nowej Reformie“ doniesiono, że, z powodu niedyspozycyi prelegenta, odczyt prof. Ziembickiego odbyć się nie mógł, odłożono go więc na następującą niedzielę.

Pokazało się, że reporter wybrał się na odczyt z gotowem już sprawozdaniem, wobec czego uznał, że szkoda niedzielnego czasu na słuchanie wywodów prelegenta. Poszedł więc gdzieindziej, dajmy na to na bilard i ani nawet przypuszczał, że los spłata mu takiego figla. Dlatego też rano, gdy z rękopisem zjawił się w redakcyi, nawet nie spytał się, czy też odczyt odbył się, czy nie.

Otóż wspominam o tem tylko dlatego, ponieważ boję się, iż wszystkie owe doniesienia z ostatnich czasów, dotyczące stosunku Serbii do Austryi, Prohaski, rokowań pokojowych i t. d. oparte są właśnie na tak dokładnych informacyach.

Tymczasem zaś nad parlamentem wiedeńskim pojawiła się gwiazdka betlejemska pod postacią paragrafu 14. Przyświeca ona coraz jaśniej, gdyż obstrukcya zaczyna się na całej linii, a rząd wymaga stanowczo uchwalenia ustawy o świadczeniach wojskowych, poczem dopiero przyszłaby kolej na przedłużenie regulaminu prowizorycznego i pragmatykę służbową. Aby do soboty, w którym to dniu Izba posłów rozjedzie się na ferye świąteczne, także prowizoryum budżetowe było załatwione, to wobec obstrukcyi słoweńskiej i ruskiej zdaje się być fizyczną niemożliwością, wobec czego parlament musi być odroczony, a prowizoryum budżetowe wydane na podstawie § 14.

To przecież dziwne, że właśnie dwa stronnictwa, które tak głośno wspominają o swej ultra-lojalności, zaczynają obstrukcyę wtedy, gdy rząd znalazł się w tak ciężkich warunkach!...

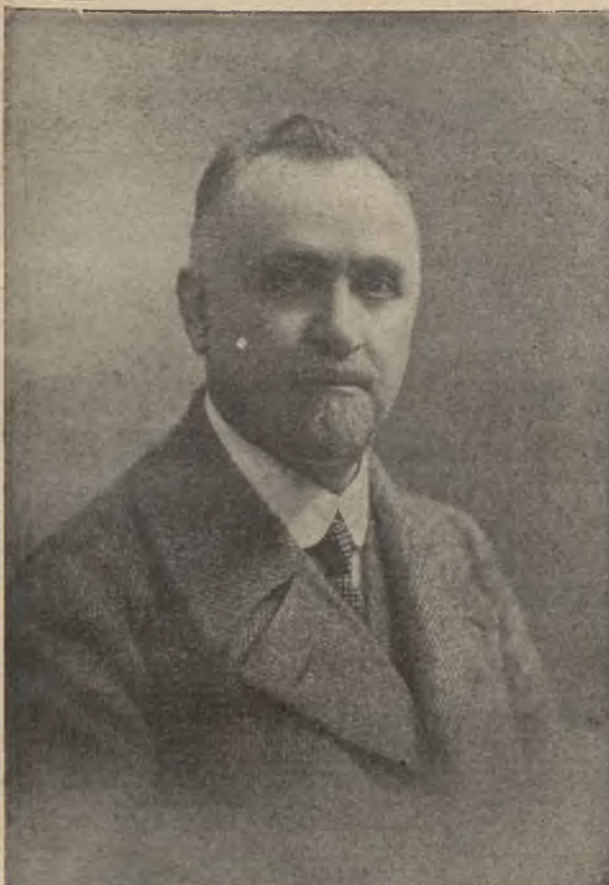
Na zakończenie chciałbym poświęcić słówko odbywającej się we Lwowie konferencyi Związku dyrektorów szkół średnich.

Mogą obradować w Londynie ambasadorowie i przedstawiciele państw bałkańskich, ciekawy jestem, dlaczego nie mieliby sobie na to pozwolić i panowie dyrektorzy.

To mi się jednak nie podoba, że założyli oni osobny „Związek“, zamiast zjednoczyć się w działalności z tak już zasłużonem Towarzystwem Nauczycieli szkół wyższych.



Następny numer (świąteczny) wyjdzie w poniedziałek.



Sławny czeski chór w Krakowie: Ferdynand Vach, dyrektor i założyciel chóru nauczycieli morawskich.




Sławny czeski chór w Krakowie: Związek śpiewacki nauczycieli morawskich, który w tych dniach wystąpi w Krakowie.



Po wojnie: Austro-węgierski konsul Prochaska (X) przed konsulatem w Prizrencie.

# Kurs dla gospodyń wiejskich.

Wiadomo powszechnie, jak wielką rolę w gospodarstwie wiejskiem odgrywają kobiety. Ich praca stanowi niejednokrotnie podstawę bytu mniejszych zagród włościańskich. Aby jednak gospodynie-włościanki mogły sprostać swym obowiązkom, muszą zdobyć choć minimum praktycznej i teoretycznej wiedzy. W tym celu organizacye rolnicze urządzają specyalne kursa. Taki kurs dla gospodyń wiejskich, zorganizowany staraniem powiatowego Zarządu Kółek rolniczych w Wieliczce i Kółka rolniczego w Bierzanowie, a urządzony kosztem Zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych, odbył się w Bierzanowie. W kursie wzięło udział 54 frekwentantek, pomiędzy któremi było 13 samodzielnych gospodyń wiejskich. Kurs był umieszczony w wygodnym lokalu, ofiarowanym na ten cel przez p baronową Czechową. Stale nauczającemi na tym kursie były Siostry zgromadzenia N. P. M. w Starej Wsi: Loreta Lachowicz, Alberta Tomasik i Helena Kowalska. Te trzy nauczycielki pouczały na kursie w zakresie gotowania, pieczenia, prania, prasowania, szycia, cerowania, łatania, kroju, obchodzenia się z nabiałem, rachunków i korespondencyi, potrzebnej wiejskiej kobiecie, chowu drobiu i o porządkach w gospodarstwie. Nadto pouczali na kursie: ks. wikary Górniciewicz o obowiązkach względem Boga, p. Slusarek, nauczycielka w Bierzanowie, o obowiązkach względem rodziny i społeczeństwa, urzędnik kolejowy p. Janek o dziejach ojczystych, lekarz miejski w Wieliczce Dr. Stroka o hygienie i pomocy w nagłych wypadkach, weterynarz powiatowy p. Warczewski o hygienie inwentarza żywego i pomocy w nagłych wypadkach, inspektorzy rolniczy pp. Sumegniecki i Kosak o hodowli bydła, nierogacizny i ogólnych wiadomościach rolniczych, kierownik powiatowej szkółki drzewek owocowych w Wieliczce p. Kwerka pouczał o sadownictwie i warzywnictwie, nauczyciel Jan Kanty Tutora o działalności Kółek rolniczych, a organista miejscowy i sekretarz Kółka rolniczego p. Jamka uczył śpiewu.

Zakończenie kursu, który trwał przeszło 2 miesiące, odbyło się dnia 14 grudnia w obecności wiceprezesa Towarzystwa Kółek roln. dra Dulęby, marszałka powiatu p. Wintera, delegata Towarzystwa okręgowego roln. p. Sliwińskiego, przedstawicieli



Kurs dla gospodyń wiejskich w Bierzanowie: Grupa organizatorów, kierowników i uczestniczek kursu.

instytucyi rolniczych i społecznych oraz licznego grona zaproszonych gości.

Rezultat kursu był nadzwyczaj pomyślny. Wszystkie frekwentantki wykazały na egzaminie, że udzielane na kursie nauki, zarówno praktyczne, jak i teoretyczne, w zupełności sobie przyswoiły, a wykonanemi na kursie robotami wszystkich wprawiły w podziw.

Illustracya nasza przedstawia grupę organizatorów, kierowników i uczestniczek kursu.

## Gwiazdka i przemysł.

Ruchliwa Liga pomocy przemysłowej dba o to, aby w stosownym czasie reklamować wyroby krajowe, a przez to zachęcać publiczność do ich kupowania. Przed kilku dniami została jej staraniem otwarta we Lwowie w Instytucie technologicznym wystawa zabawek wełnianych, które zostały wykonane na kursie zabawkarstwa, urządzonym staraniem Ligi.

Wystawa zainteresowała szerokie koła, przedstawia się bowiem bardzo bogato. Wśród zabawek znaleźć można wszystko, począwszy od figlarnych kociąt, a skończywszy na „strasznych“ białych i brunatnych niedźwiedziach.

W kursie, który poprzedził wystawę, a na którym zabawki zostały wykonane, brały udział przeważnie nauczycielki, które znajomość tego pożytecznego przemysłu domowego zaszczepiają po wsiach i miasteczkach. Dzięki temu zyskamy znowu jedno pole, gdzie skutecznie będziemy mogli pozbyć się lichej obcej tandety.

Illustracye nasze przedstawiają grupy zabawek wystawionych na lwowskiej wystawie.



## Rozwiązanie zagadek z Nr. 49.

**Zadanie królewskie:** Zawieszenie broni między Turcyą a Bułgaryą Rokowania pokojowe w toku. Konsul Prchaska znalazł się nareszcie Naprężenie stosunków między Austryą a Serbią Albańczycy proklamowali niezawisłość

**Trójkąt magiczny:**

```
M o r a w s k i
O s t r y g a
R e d u t a
A r s e n
W a p ń
S ó l
K u
I
```

**Szarada:** Kalarepa.

**Łamigłówka:**

```
      E w a
      s y n
        j a r
        a r a
  b e z
  r a d
    o t o
    r u n
      p a k
      k o s
    w ó z
l e w
b e z
      e r a
      u f a
m i r
k t o
  o p a
  s y n
```

**Zadanie do przestawienia:** Zeby kozka nie skakała, toby nóżki nie złamała.

**Trójkąt magiczny:**

```
K i s i e l e w s k i
I n f o r m a c y a
S z a r l a t a n
I n k w i z y t
E g o i s t a
L i p i e c
E t y k a
W i e k
S a n
K u
I
```

**Zadanie do przestawienia:** Wiele hałasu o nic.

**Zadanie przysłowiowe:** 1. Wart Pac pałaca, a pałac Paca 2 Masz babo placek.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp:* E Bogdalska Koropuż, K. Fuchs Czeremchów, L Czernecki Cieszyn, M. Różycki Lwów, I. Brzostowski Podgórze, M Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, R Bałuk Kołomyja, A Siatka Kraków, H Kamiński Lwów, J. Jagiarz Tarnopol, P. Madejski Wiedeń, S. Korytowski Janów, W. Gliński Jaremcze, E Dembiński Szczawnica, S. Samlicki Przemyśl, D. Staniszewski Lwów, G Świrski Piotrków, M Ligęza Lwów, M. Kadulski Oświęcim, S. Nowacki Przemyśl, M. Maresch Lwów, S Krzyżanowski Podgórze, W. Piątek Podwołoczyska, M Łapiński Warszawa, D. Engelberg Rzeszów, H Mizerska Płock, K. Armatys Ulanów, J. Jakubowska Kraków, D. Sedyńska Zakopane, M. Planecka Kraków, F Gebbardt Kraków, Z. Mazaraki Radom, I. Wiewiórowski Warszawa, T. Nikiel Kraków, M. Horak Oświęcim, S Karwowski Pilzno, F. Schmidt Cieszyn, M Obst Łódź, I Gajewski Tarnów, R Ryglicki Poznań, H Biesiadecki Kraków, R Link Lwów, S. Baziak Staszów, H. Wincencik Kraków, T Kinalski Tarnopol, A Gralewski Kraków, M. Toporowski Lwów, S. Stawarski Wiedeń, A Lichański Radziwiłłów, J. Kamocki Kalisz, S. Dubiel Krosno, J. Gans Lwów, J. Czarkowski Skierniewice, J. Sperling Wiedeń, I. Groszczyńska Wadowice, A. Biliński Tarnopol, K Hoszowski Jaremcze, I Zachara Mielec, K. Dulęba Lwów, M Scholz Rozwadów, K. Fijałkowski Jasło, M. Wyka Sambor, J. Wójtowicz Rzeszów, S. Kruszelnicki Janów, M. Gottlieb Sambor, J. Orlińska Jaworów, J. Strojek Tarnopol, M. Wojakowski Petersburg, J Gruber Drohobycz, H. Lasocińska Lublin, L. Berezowski Nowy Sącz, W. Fiala Kraków, S. Zaremba Mszana, J Antosz Sanok, K. Zapałowicz Wilno, A. Dużak Kraków, T. Chrzanowski Suwałki, S. Bukowski Kijów, S. Kowalówka Kraków, K. Galiński Sanok, W. Zawadzki Tarnów, W. Kwaśniewski Opatów, K. Mann Bochnia, G. Warg Tarnobrzeg, F. Bätterfeind Jaworów, K Więckowska Warszawa, A Wojciechowski Kraków, A. Barnat Złoczów, K. Radomski Lwów, M. Rosenbaum Rzeszów, K. Malinowski Lwów, J. Obraczay Morawska Ostrawa, L Bandrowski Częstochowa, W. Potocka Kraków, M. Jahoda Cieszyn, K Janik Drohobycz, S Karczmarski Kraków, L. Mróz Lwów, M. Sadowska Poronin, M. Krawecki Radomyśl, S. Raczyński Rzeszów, L. Ostrowski Petersburg, R. Cegielski Poznań, M. Kapalski Tarnów, H Schwarz Warszawa, W. Lisowski Warszawa, S Lindenbaum Czerniowce, F. Urban Kraków, A Trzeciak Krynica, K. Stumpf Stanisławów, J. Roland Kielce, W. Borkowski Kraków, L. Aleksandrowicz Płock, S. Niżyński Lwów, J. Rachwalski Stanisławów, I. Błachowski Szczucin, J. Popiel Mińsk, R. Majewski Lwów, K Zegartowska Bogucice, T Tichy Cieszyn, K. Gadomski Zakopane, S. Kurzyniec Kraków, E. Mianowska Lwów, S. Kozarski Sichów, J. Topolnicki Kamieniec, M. Klappholz Rzeszów, E Niestenberger Zakopane, J. Cichoń Warszawa, S Kozłowski Kraków, L Langer Kraków, I. Trojacki Wiedeń, A. Augustynowicz Lwów, S Sokołowski Rzeszów. K Kaim Kraków, S. Krysiński Częstochowa, A. Wilczkiewicz Stanisławów, S. Bobrowski Lwów, I Zaleski Czerniowce, S. Reich Łódź.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Zaremba, Mszana.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki,

## Z półek księgarskich.

**„Lotnika i Automobilisty“** ukazał się Nr. 12, zamykający drugi rocznik tego pisma, które w szerokich kołach sportowych zyskało już należyte uznanie. Jak zwykle, nowy zeszyt odznacza się staraniem o rozmaitość treści, obok też artykułów specyalnych, jak „Wodnopłat i jego zalety“. „Samochody ambulansowe na wojnie“, „Omnibusy powietrzne“, „Rady dla właścicieli samochodów w kwestyi zaopatrzania silników na zimę“, mamy tu w dziale „Wszechsport“ bardzo interesujący opis produkcyi i zadań kinematografu, obfitą kronikę i t. p. Duża ilość illustracyi ożywia numer.



(Wiadomości okrętowe). Parowiec **Mauretania linii Kunard** donosi telegramem Marconiego 770 mil od Nowego Yorku: że na okręcie wszystko dobrze.

Prawdopodobnie w piątek przybędzie do Nowego Yorku.

Linia Hamburg-Ameryka, Wiedeń. **(Podróże do Ameryki północnej).** Nie biorąc pod uwagę przepełnionych parowców, które w ostatnich latach przywożą Amerykańczyków do Europy, także podróże linii Hamburg-Ameryka do Indyi zachodnich dały najlepszy dowód dobrych stosunków w Stanach Zjednoczonych. Podczas, gdy w r. 1909, towarzystwo to mogło urządzić dwie podróże dla przyjemności, jest zmuszone na wiosnę r. 1913 urządzić nową podróż, by módz opanować ten silny ruch. Oczywiście, że tym z rosnącym zamiłowaniem odbywanym podróżom do Indyi zachodnich Linii Hamburg-Ameryka, oddano najwspanialej urządzone okręta.

# Ze świata kobiecego.

## Przed świętami.

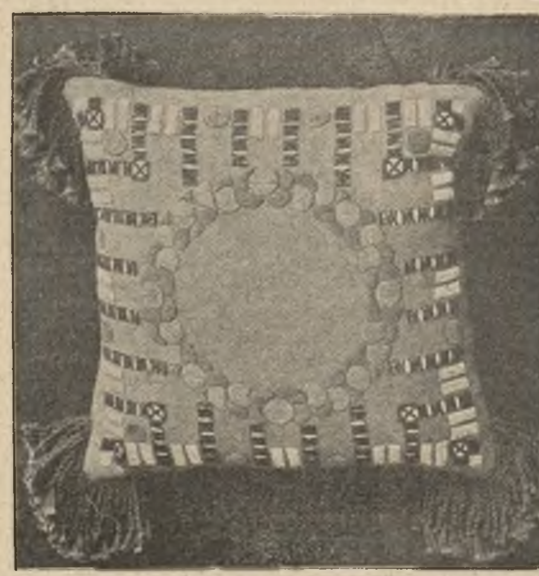
Za kilka dni zabłysną świeczki na choinkach w wilię Bożego Narodzenia. Pod drzewkami zaś znajdą się pakunki i pakuneczki, pełne podarków i upominków, przeznaczonych dla naszych najbliższych i najserdeczniejszych. Skromniejsze one pewno będą w tym roku, gdyż ogólna sytuacya finansowa nie bardzo pozwala groszem rozporządzać, ale zawsze, stosownie do zwyczaju każdy w rodzinie znajdzie tam coś dla siebie.

Uważam za stosowne w chwili, kiedy właśnie Czytelniczki moje przygotowują się do czynienia zakupów świątecznych, zwrócić ich uwagę na jeden ważny moment. Ostatnie wypadki polityczne i ekonomiczne dowodnie pokazały, że w chwili, kiedy wskutek ogólnego przesilenia finansowego wśród naszych polskich sfer kupieckich i przemysłowych potrzeba było pomocy, celem ratowania egzystencyi wielu z nich, ci, którzy miliony z kraju naszego za sprzedane towary wywożą, nie tylko nie okazali chęci do niesienia tej pomocy, ale przeciwnie zaczęli rzucać różnego rodzaju oszczerstwa na polskie kupiectwo, odmawiając mu rzetelności i uczciwości. Przemysłowcy niemieccy z całą zaciętością wystąpili przeciw naszym polskim braciom, tak iż aż trzeba pomocy wiedeńskiego Koła Polskiego, aby ich przeciw rzucanym na nich inwektywom bronić.



**Suknia wizytowa,** stanik zrobiony z czarnego aksamitu, spodniczka wycięta jest od dołu w fantastyczne zęby.

Postępowanie to tem bardziej powinno nas zachęcić do podjęcia energicznie hasła „swój do swego“. Któż łatwiej może je spełnić jak nie my kobiety, które właściwie jesteśmy odbiorczyniami zarówno przemysłu jak i handlu. Zakupując więc na święta nasze podarki na gwiazdkę pamiętajmy o tej świeżej nauczce, jaką niedawno dostało polskie społeczeństwo. Niech nas nie łudzą szumne nieraz ogłoszenia o taniości różnych obcych towarów, ale przedewszystkiem dbajmy o to, aby to, co kraj nasz wyrabia i dostarczyć może, kupować. Dzięki Bogu, przemysł nasz rozwinął się już o tyle, że wiele rzeczy odpowiednich na podarki gwiazdkowe jest u nas wyrabianych.

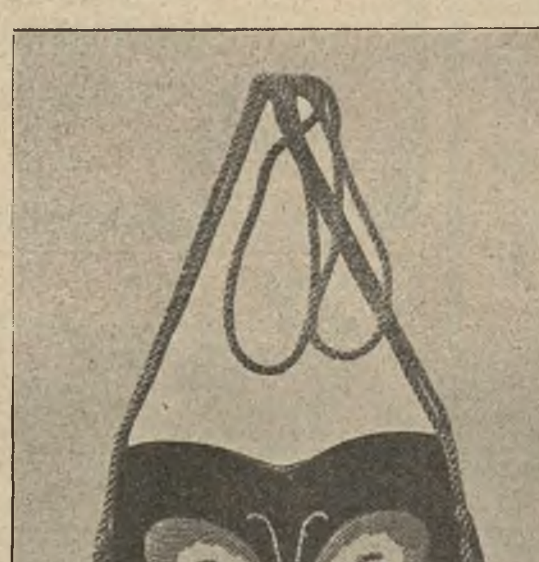


**Poduszka na sofę** z zielonego jedwabiu, przybrana płaskim haftem.

Mamy ładne i tanie zabawki wyrobu krajowego, wycinanki, lalki, mamy krajowe płótna i sukna, mamy piękne wyroby introligatorskie i galanteryjne, wreszcie nawet krajowe koronki i hafty. Przy dobrej więc woli możemy śmiało w sklepach domagać się, aby nam sprzedawano tylko wyroby krajowe.

W obecnej sytuacyi, gdzie od poparcia krajowego polskiego kupiectwa i przemysłu zależeć może los niejednego z kupców, jest to naszym najświętszym obowiązkiem.

Na pruskie błyskotki, którymi nieraz drzewka nasze stroimy, prawdziwie szkoda pieniędzy. Niech one się mniej błyszczą, a niech na nich znajdą się raczej same w kraju wyrabiane rzeczy. Zresztą jestem przekonana, iż niejedno z naszych dziatek będzie wolało dobry polski piernik, niż łatwo psującą się kulę szklanną niemiecką.



**Torebka damska** z aksamitu, przybrana haftem z perełek.

„Swój do swego“ oto hasło, o którem nie zapomnijmy, zwłaszcza teraz przed świętami.

Wiele ładnych podarunków może zresztą równie dobrze być zrobionych w domu. W dzisiejszym numerze podaję illustracye kilku takich rzeczy, które własnym przemysłem doskonale można zrobić. A z pewnością rzeczą o wiele przyjemniejszą będzie nosić coś lub mieć w domu, własnej roboty, niż często lichotę kupić za drogie pieniądze.

Niestety w dziedzinie mody pozostaliśmy dosyć w tyle. O modzie „polskiej“ mówić nie możemy. Mimo iż Polki zawsze odznaczały się szykiem i umiejętnością ubrania się, wzory tego, co nosimy, przeważnie czerpiemy z zagranicy. Przynajmniej jednak uczyńmy jeden krok naprzód. Niech te suknie, które według niemieckich lub francuskich wzorów są szyte, będą o ile możności z krajowego materyału. A wtedy dla „polskości“ naszej mody już bardzo dużo zrobimy.

*W.*



**Szal** domowej roboty z czarnej *crepe de Chine*, brzeg haftowany srebrem.

LEON SAZIE.

# ZIGOMAR

## STRASZLIWY BANDYTA.

21

La Rochardie wydał chrapliwy ryk, jedyny dźwięk, na jaki mógł sobie pozwolić, mając usta zakneblowane. Simonet zaś odparł spokojnie z wdziękiem i uśmiechem francuskiego dyplomaty:

— Jestem w rozpaczy, nie mogąc zadowolnić jego życzenia.

— W takim razie może pański przyjaciel to uczyni.

I dodał, zwracając się do swych ludzi:

— Wyjąć mu knebel.

La Rochardie, gdy odzyskał możność mówienia, wybuchnął śmiechem:

— I ja nie jestem w stanie zrobić panu tej przyjemności.

Człowiek w masce rzekł:

— Pan Simonet wiózł te dokumenty w jakiemś specyalnem ukryciu. Ponieważ jednak teraz panowie udawali się na audyencyę do ministra, więc dokumenty te muszą być gdzieś na wierzchu. Zechcą mi więc panowie je oddać lub wskazać miejsce, gdzie się znajdują. Muszę zaznaczyć przytem, że nie mamy przeciw żadnemu z panów złych zamiarów, jakkolwiek jesteście przyjaciółmi naszych wrogów. Chodzi nam jedynie o te papiery.

— Nie powiemy panu nic — odparł krótko Simonet.

— Nie zmuszajcie mnie panowie do użycia środków gwałtownych, od których chciałbym się powstrzymać.

— Niema o czem mówić, nic się pan od nas nie dowie.

— Posiadam środki, o jakich istnieniu panowie nie przypuszczacie nawet. Potrafię zmusić do mówienia każdego, bez względu na jego wolę. Jeszcze więc raz zwracam się z prośbą o odpowiedź. Czas leci. Nie chciałbym sprawić panom przykrości. Więc?

La Rochardie odparł grzmiącym głosem:

— Istotnie, panie, czas leci. Mój przyjaciel i ja uważamy położenie nasze za niemiłe i śmieszne. Simonet oświadczył panu, że nic nas nie zmusi do odpowiedzi na pańskie pytanie. Niech więc pan przystąpi, nie tracąc czasu, do popełnienia podłości, która ma mieć na celu rozwiązanie naszych języków. Niechże się pan spieszy!

Człowiek w masce skłonił się.

— Dobrze, panie — rzekł — czekałem na te dumne słowa. Byłem pewny, że je usłyszę. Jak również jestem pewny, że za chwilę usłyszę żądaną przezemnie odpowiedź, dotyczącą dokumentów.

Skinął na swych ludzi, wskazując im Simoneta.

La Rochardie wtrącił żywo:

— Przepraszam, pan chce torturować Simoneta? To nie ma celu, straci pan napróżno czas.

— A to dlaczego?

— Może pan sprawdzić, przeszukawszy jego kieszenie, że nie ma przy sobie dokumentów.

— A więc to pan, kapitanie, jako silniejszy od swego przyjaciela, bardziej przyzwyczajony do walki, więc pan je posiada? Lub wie pan, gdzie się znajdują?

— Pan mi pochlebia, ale mimoto nic nie powiem.

— Jednak pan posiada taki piękny głos!

— Głos dobry do komendy, ale nie do rozmowy.

— Zobaczymy!

I człowiek w masce skinął na swych pomocników.

— Zatrzymajcie się! — krzyknął Simonet. — Co chcecie z nim robić?

— Zmusić go do mówienia. Lubi to przecież bardzo!

— Nic wam nie powie, bo nie może powiedzieć. Kapitan jest tylko moim towarzyszem podróży. Nie ma żadnego związku z tą sprawą. To ja miałem polecone sobie dokumenty i doręczenie ich angielskiemu ministrowi. Tylko ja! Pozostawcie więc w spokoju kapitana, który chce się za mnie poświęcić.

— Przepraszam cię, mój drogi — zawołał kapitan — ale bandyci, z którymi mamy do czynienia — są lepiej poinformowani niż przypuszczasz. Przeszukali kieszenie w pończochach gumowych w hotelu i nie znaleźli tam papierów. Wiedzą więc, że ich nie masz. Sądzą zatem słusznie, że je znajdą u mnie.

Bandyta rozstrzygnął szlachetny spór dwu przyjaciół.

— Tak, postaramy się dowiedzieć o papierach od kapitana. Jeśli nie powie nam nic, jeśli tortury nie zmuszą go do zeznania, wówczas, być może, iż cierpienia przyjaciela wpłyną na pana Simoneta i powie nam, czego żądamy.

Ludzie w maskach skłonili się, a dowódca ich podniósł rękę i rzekł:

— Zaczynajcie!

Dwaj bandyci pochwycili kapitana i położyli go na plecach pod prasą. Teraz La Rochardie i Simonet zrozumieli, jakiej piekielnej torturze mieli ich poddać. Kapitan leżał pod płytą w taki sposób, że nogi i głowa jego zwisały w powietrzu, pierś tylko miała być poddana ciśnieniu. Jeden z bandytów pochwycił korbę koła i zakręcił nią kilka razy. Płyta opuściła się i nacisnęła pierś kapitana.

Bandyta w masce z galonem rzekł:

— Panowie zrozumieli już, jakiego rodzaju torturę zastosujemy. Pierś kapitana będzie powoli, stopiowo naciskana, miażdżona... Kości zaczną pękać — będzie to cierpienie, jakiego nie zdoła wyrazić żaden język, żadna mowa.

— W żadnym języku, w żadnej mowie — pomimo najstraszliwszych tortur — nie powiem wam tego, co pragniecie wiedzieć.

W chwili, gdy odwracał głowę, mówiąc to — ujrzał na ścianie zegar i uśmiechnął się. Simonet pochwycił jego spojrzenie, podniósł oczy i zrozumiał przyczynę uśmiechu kapitana w chwili rozpoczęcia męki.

W tej chwili do sali weszło jeszcze kilku ludzi. Wszyscy — z wyjątkiem jednego — mieli na twarzach maski. Człowiek bez maski, ubrany według ostatniej mody — był japończykiem. Stanął on na uboczu, jak gdyby chciał być tylko widzem. Przez chwilę panowała cisza. Poczem szef bandytów zwrócił się do kapitana:

— A więc zgadza się pan mówić?

— Nie! — odparł energicznie kapitan.

Bandyta wstał uroczyście i rozkazał:

— Jeden obrót koła!

W tej chwili z końca sali rozległ się okrzyk:

— Ja! Ja! Ja będę kręcił!

Ukazała się kwiaciarka, która skłoniła się szefowi i rzekła:

— Mistrzu, proszę o pozwolenie dokonania zemsty.

— Dobrze — odparł bandyta.

Wówczas kwiaciarka zrzuciła kapelusz, perukę, kobiece suknie i ukazał się silny, dobrze zbudowany mężczyzna, typowy Saksończyk.

La Rochardie, ujrzawszy go — wydał okrzyk, potem roześmiał się.

— Patrzcie! Toż to mój ślepy z hotelu! Ten, któremu urządziłem kąpiel gorącą.

— Tak, to ja — odparł Niemiec, zakasując rękawy i odkrywając ślady poparzenia na rękach — tak, ty chciałeś mnie ugotować, a teraz ja ciebie pieczętuję.

Pochwycił korbę i zakręcił kołem. Płyta nacisnęła silniej pierś kapitana, przeszkadzając mu oddychać i przyspieszając przytem bicie serca.

— Stój! — zawołał szef.

— To jest podłość — zawołał Simonet. — Jesteście podli mordercy.

— Zechce nam pan nie przeszkadzać — rzekł bandyta w masce z galonem — w przeciwnym razie każę panu zakneblować usta.

Poczem zwracając się do kapitana, rzekł spokojnym głosem, jak gdyby dawał proste wyjaśnienie techniczne:

— Przy każdym obrocie koła płyta obniża się o dwa centymetry i ciśnie z siłą stu kilogramów. Po dwu obrotach pańska klatka piersiowa będzie zmiażdżona i będzie pan czekał, aż śmierć zlituje się nad nim i skróci straszne cierpienia. Mam jednak nadzieję, że pan zrozumie położenie i da nam pan wyjaśnienia, jakich żądamy.

La Rochardie, który już cierpiał bardzo, nic nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko.

— Ma pan dwie minuty czasu.

Kapitan zwrócił głowę w stronę zegara, poczem spojrzał na bandytę i począł gwizdać sygnał wojskowy. Taka brawura, wobec straszliwych cierpień, zadziwiła nawet tych ludzi, przyzwyczajonych bezwątpienia do różnych wrażeń.

Simonet, trzymany przez bandytów — płakał. Rozumiał, że żadne protesty nie pomogą. Pochylając się do kapitana, rzekł półgłosem:

— Pozwól mi, pozwól mi mówić. Nie chcę, żebyś tak cierpiał. Błagam cię, pozwól mi mówić.

La Rochardie, przestając gwizdać, odparł:

— Dziękuję ci mój drogi. Rozumiem cię. Ale tu mój obowiązek! Nasz honor wchodzi w grę. Pozwól mi więc umrzeć, jeżeli tak trzeba, — ale nic nie mówmy!

— Dosyć! — rzekł bandyta. — Dwie minuty minęły. Czy pan będzie mówił?

La Rochardie zagwizdał nowy sygnał. Bandyta skinął ręką i Niemiec, pełniący rolę kata, zakręcił kołem. Straszny ból wyrwał z piersi kapitana — wbrew jego woli — głuchy jęk. Simonet chciał zbliżyć się do przyjaciela, ale trzymano go mocno; chciał krzyczeć, ale zakneblowano mu usta — i musiał bezsilny, milczący przyglądać się męczarniom swego nieszczęśliwego towarzysza. Bandyta znowu zwrócił się do kapitana:

— Będzie pan mówił?

La Rochardie nie odpowiedział, chciał zagwizdać, ale nie był już w stanie, brakowało mu powietrza. W kącie ust ukazała się nitka krwi.

— Ma pan minutę czasu do namysłu — rzekł spokojnie szef bandytów.

La Rochardie spojrzał na zegarek i milczał.

— Kręć! — rozkazał bandyta Niemcowi.

Kat z radością pochwycił za korbę. Jeszcze jeden obrót i jego wróg będzie zmiażdżony. Ale Rochardie zwrócił nagle głowę i plunął mu w twarz krwią z obrzydzeniem i pogardą.

— Będę mówił! — rzekł.

— Stać! — krzyknął żywo szef.

Kat zatrzymał się z żalem. Puścił korbę i otarł twarz. Poczem z obrzydliwym uśmiechem rzekł:

— Ci Francuzi wszyscy są jednakowi. Poddają się, jak ich tylko trochę nacisnąć!

La Rochardie nie słyszał tego, gdyż inni bandyci uwalniali go z pod prasy i postawili go przed stołem, za którym siedział szef. Musieli go trzymać, bo chwiał się na nogach.

— Więc ostatecznie zdecydował się pan odpowiedzieć na moje pytanie?

— Tak.

Kapitan rzucił jeszcze raz okiem na zegar i rzekł głosem drżącym, ale wesołym:

— Tak — odpowiem panu. Proszę mi dać kilkanaście sekund, żebym mógł przyjść do siebie, a powiem panu wszystko...

Oddychał głęboko przez chwilę, poczem rzekł:

— Chce pan wiedzieć, gdzie znajdują się dokumenty, ktore Simonet przywiózł ze sobą, a których

nikt nawet ten, z czyjego rozkazu pan tu jesteś — nie mógł zdobyć ani w walce ani podstępem? Chce pan wiedzieć? A więc dobrze, powiem panu. Niech pan słucha!

W tej chwili zegar zaczął dzwonić!

La Rochardie liczył uderzenia:

— Raz, dwa, trzy, cztery!

I rzekł.

— W tej chwili — z wybiciem czwartej godziny kapitan Fred de Montgomery odda e, do rąk własnych angielskiemu ministrowi spraw zewnętrznych dokumenty, które tu przywieźliśmy z polecenia rządu francuskiego.

Bandyci zadrżeli. Niemiec zaklął straszliwie.

La Rochardie zaś ciągnął dalej.

— Jesteście silni, tak — Z gomar jest bardzo silny! Ale z nami jest człowiek, który nazywa się Paulin Brcquet, który jest przedstawicielem sprawiedliwości, obowiązku i honoru. Dzięki niemu — dokumenty te — których wartość jest wam wiadoma — zostały ocalone! Oto cała prawda! Nie możemy wam powiedzieć nic więcej. Nasza misya jest skończona — i mamy zaszczyt pożegnać panów.

Bandyci nie mogli nie uwierzyć tym słowom. Byli oszołomieni. Długą chwilę trwało milczenie, które przerwano zostało gwałtownym dzwonkiem telefonu. Szef bandytów pochwycił słuchawkę, ale prawie natychmiast odwrócił się, uderzył pięścią w stół i krzyknął.

— Policya w domu! — Uciekać!

Wszyscy rzucili się do drzwi, pozostawiając jeńców, tylko Niemiec zwrócił się jeszcze do swej ofiary i rzekł:

— Żałuję, że cię nie zdusiłem!

I podniósł rękę, chcąc spoliczkować związanego kapitana. Ale w tej chwili wydał przeraźliwy okrzyk i padł na kolana. To Japończyk, który dotąd spokojnie i w milczeniu przyglądał się całej scenie — podskoczył i przy pomocy dżiu dżitsu rozciągnął na ziemi szubrawca.

— Możesz torturować tego człowieka — rzekł doń, — bo jesteś bandytą. Ale niewolno ci znieważać żołnierza, który znosił cierpienia z niesłychaną odwagą i iście francuską brawurą.

Podniósł leżącego i pchnął go w stronę drzwi.

— Wynoś się.

Poczem uchylając kapelusza, zwrócił się do kapitana:

— Kapitanie, zechciej przyjąć hołd od towarzysza broni, który byłby dumny, gdyby mógł, służąc swej ojczyźnie — spełnić podobny czyn bohaterski!

ROZDZIAŁ III.

Policyanci lordyńscy weszli z hałasem do sali. Był też z nimi dzielny L'Amorce i dwu innych pomocników Paulin Brcquet'a. Detektywi francuscy otoczyli natychmiast Simonet'a i kapitana i uwolnili ich z więzów. Simonet rzucił się w ramiona kapitana, całując go i płacząc. Ale La Rochardie pomimo całej swej energii i odwagi tak był osłabiony, że nie mógł utrzymać się na nogach. L'Amorce i jego ludzie podtrzymali go.

— Ja się zajmę kapitanem — rzekł L'Amorce do Simoneta. Gdy pan powróci z ministeryum, dopełniwszy swej misyi — znajdzie pan swego dzielnego przyjaciela w hotelu pod dobrą opieką.

Wieczorem łóżko kapitana otaczali Simonet, kapitan Montgomery, L'Amorce, który wziął na siebie obowiązki infirmiera i lekarz.

Minister, wuj kapitana de Montgomery miał już u siebie w pewnem schowaniu drogocenne dokumenty, które ocalały dzięki pomysłowości Paulin Brcquet'a, dzielności trzech przyjaciół i poświęceniu kapitana.

Minister, dowiedziawszy się o przygodzie — przybył sam do hotelu, by uścisnąć dłoń dzielnego oficera. Koledzy pułkowi kapitana de Montgomery, oficerzy angielscy, którzy bywali na manewrach francuskich złożyli swe karty wizytowe. Dzienniki wieczorne szeroko opisały całą przygodę.

La Rochardie, chociaż cierpiał bardzo — na szczęście wyszedł cało z przygody, dzięki silnemu organizmowi. Uśmiechał się teraz i oznajmił przyjaciołom, że nie było to boleśniejsze niż upadek z konia. Lekarz zapewniał, że nie obawia się żadnych komplikacyi.

— Kilka dni spokoju i odpoczynku — rzekł — i będzie po wszystkiemu.

— Być może — dodał z uśmiechem Montgomery — że trochę kwiatów pomogłoby do wyzdrowienia.

W tej chwili zapukano do drzwi i wszedł posługacz hotelowy, niosąc na tacy olbrzymi bukiet, podobny do tych, jakie sprzedają na ulicach.

— Kwiaty! kwiaty! zawołał Montgomery, imitując wołanie kwiaciarek ulicznych.

La Rochardie zdziwiony wziął bukiet, z którego wypadła mała kartka wizytowa. Kapitan, wzruszony przeczytał: „Miss Maud de Montgomery przesyła wraz z tym bukietem dzielnemu oficerowi francuskiemu życzenia szybkiego powrotu do zdrowia".

Poniżej był dopisek innym charakterem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Zagadki do nagrody.

### Logogryf.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko polskiego rzeźbiarza.

— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— □ —
□

*Znaczenie wyrazów:* 1. Znakomity kompozytor. 2. Miasto gubernialne w Rosyi. 3. Pieniądz perski. 4. Tytuł. 5. Spółgłoska. 6. Pseudonim polskiego poety. 7. Wyspa na morzu Śródziemnem. 8. Jedna z ulic w Krakowie. 9. Tragedya Słowackiego. 10. Liczebnik. 11. Przydomek jednego z królów polskich. 12. Grecki historyk. 13. Przyboczna rada sułtana. 14. Część wozu. 15. Przyrząd sportowy. 16. Samogłoska.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

B a t p u ł k u, g i j.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

D w a k ł y, g o j, k l i n.

### Łamigłówka.

Ułożył W. Bogusz, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy epizod z wojny bałkańskiej.

Ra —
ar —
pa —
on —
al —
lo —
be —
ni —
— oc
— ro
— wa
— ar
— ad
— ko
— ów
— wo.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:

O d a j M i k a! J u ż m a t! J a n K r u k g ó r ą! G ą k!

### Krzyż magiczny.

Ułożył J. Szewioł, Kraków.

Podane litery w ten sposób poprzestawiać, aby utworzyły trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | | a | a | a | | |
| | | a | a | a | | |
| e | e | g | g | i | i | i |
| i | k | k | k | k | l | l |
| m | m | m | o | r | s | s |
| | | ś | ś | t | | |
| | | t | y | y | | |

*Znaczenie wyrazów:* 1. Inaczej samolub 2. Znane mięczaki. 3 Wybitny czeski historyk.

### Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

„Na *pierwszy z kreską!* Do góry czoła!"
Tak *pierwszy, drugi, trzeci* zawoła.
*Drugi* nam wszystkim jest obojętny,
*Trzeci*, czy *czwarty wspak* byle chętny,
Czy duży, czy też, ot.. *trzeci-szósty*,
Ruszajmy wszyscy, chudy i tłusty!
Nie stroj się przytem w pas *szósty-trzeci*,
Niech każdy z bronią na wroga leci,
Dość pułk nasz *szósto-ósme bez jednej*
Dziś ludzi! *Całość* smutny i biedny...

### Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy, utworzą nazwisko współczesnego polskiego komedyopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

*Znaczenie wyrazów:* 1. Szukany wyraz 2. Inaczej pouczenie. 3. Szalbierz, oszust. 4. Inaczej więzień. 5. Samolub. 6. Miesiąc. 7. Nauka obyczajów. 8. Okres czasu. 9. Rzeka. 10. Przyimek. 11. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Królewiacy.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.